



THE  
UNIVERSITY OF  
CHICAGO PRESS

5995

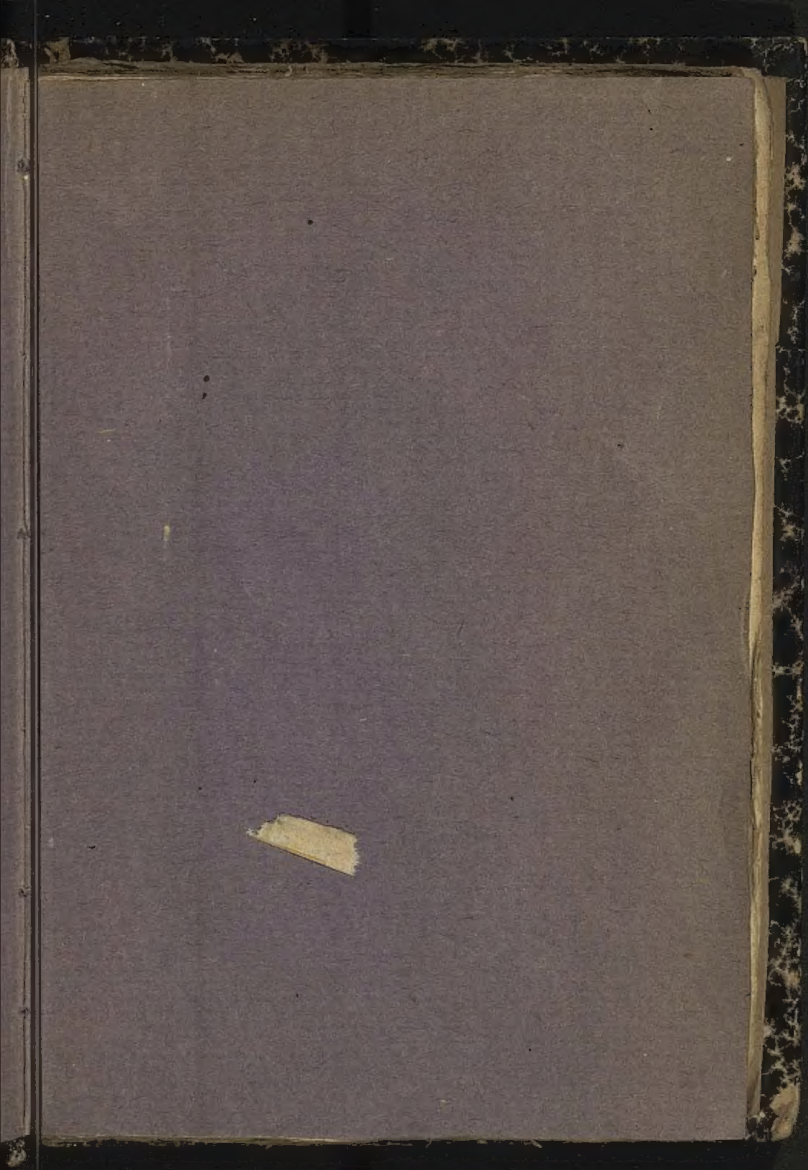
I

1887

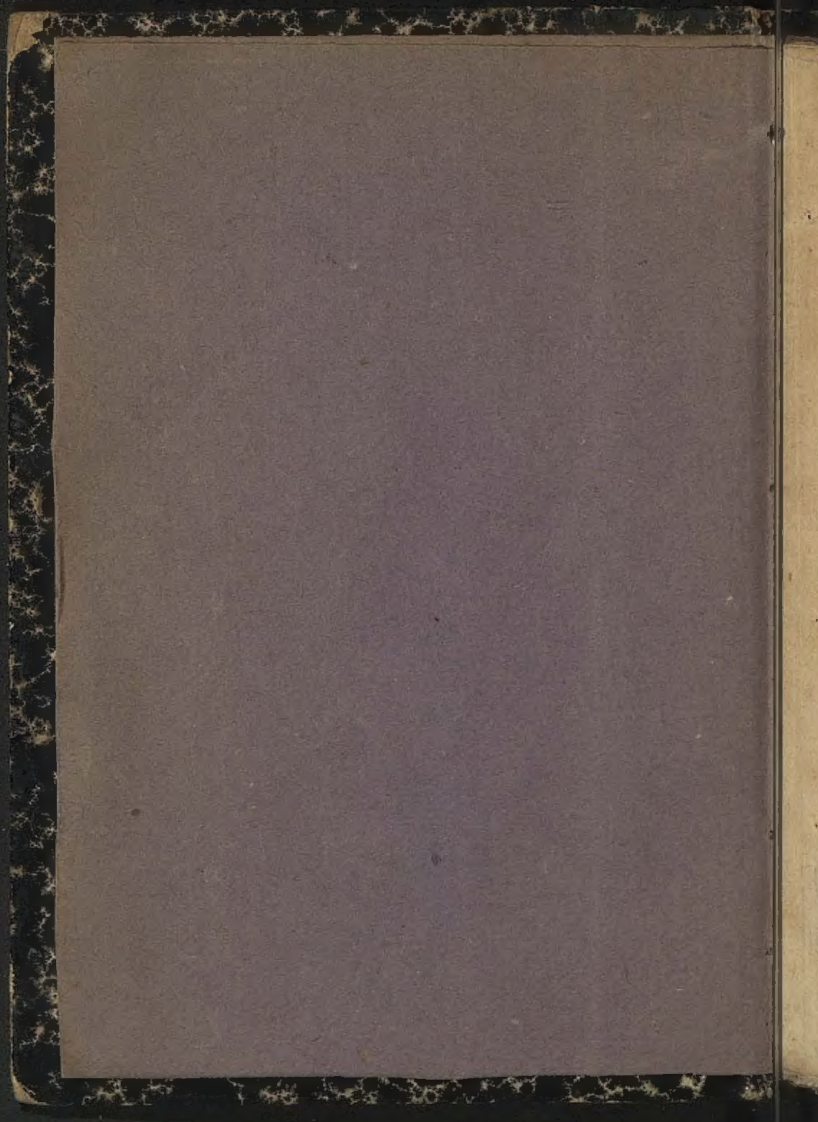
P



5995







*No pinokio*  
Z A B A W K I *0673*

WIERSZEM i PROZĄ. *1/2 to.*

T O M I. *H. 4*

E D T C Y A P I A T A.



BIBLIOTE. UNIV.

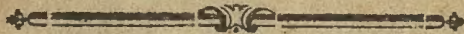


JAGELLONICAE

*Val. Br. Lichow*

*Krieg*

Za Przywileiem.



w WARSZAWIE 1790.

Nakładem i Drukiem MICHAŁA GRÖLLA,  
Księgarza Nadwornego J. K. Mci.

5995. I.



DO

JASNIE OSWIECONEGO XCIA JMCI

A.D.A.M.A.

CZARTORYSKIEGO

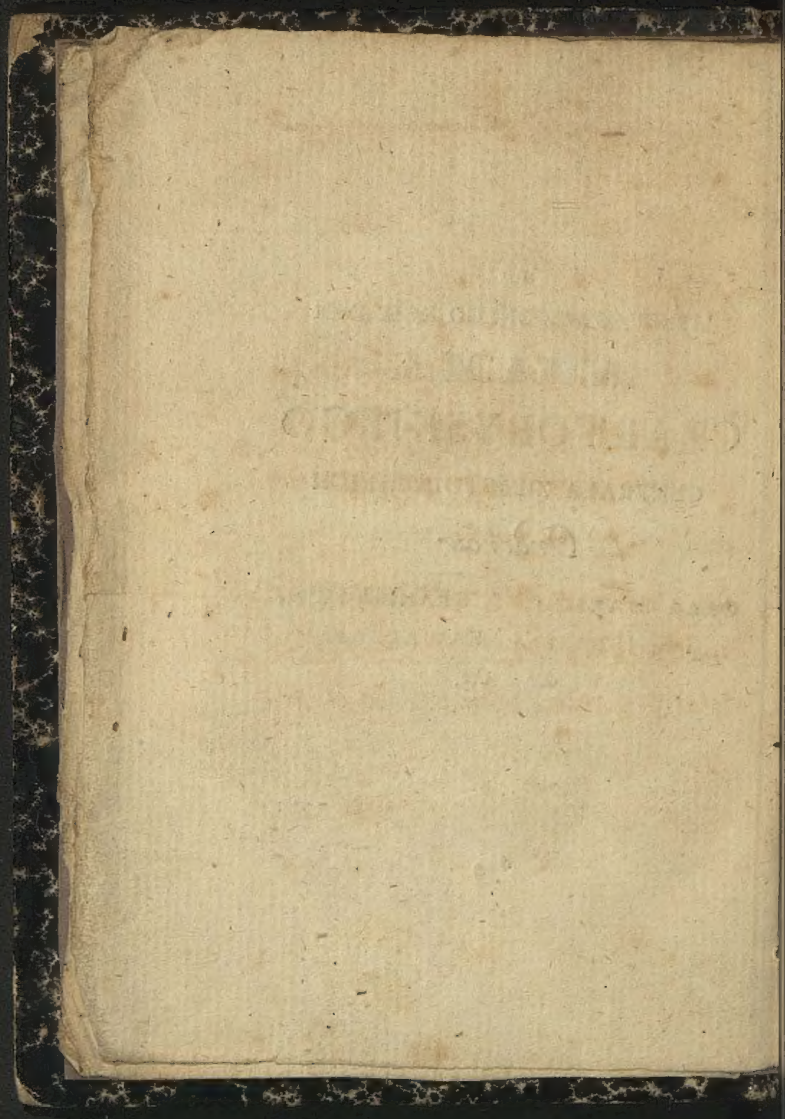
GENERAŁA ZIEM PODOLSKICH

*Orderow*

ORŁA BIAŁEGO, S. STANISŁAWA,

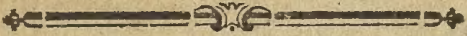
i S. JĘDRZEIA, KAWALERA,

&c. &c.



✦  
C  
w  
a  
fa  
D  
k  
w  
a  
p





**C**nota iedna iest, JAŚNIE OŚWIE-  
CONY XŻE, która na ziemi uszano-  
wanie, i ofiary odbieraćby powinna;  
ale często, gdzieby naypotrzebniej-  
szą była, tam ią znaleźć naytrudniej.  
Drogie nasienie iey na gór wierzchoł-  
kach z ciężkością przyimuie się; bo  
wiatry gwałtownieysze wyniosą go.  
ani przy bitych gościńcach; bo pyły  
przechodzącego tłumu uduszą go.

lubi niziny i ustronia; gdzie chociaż  
go zdybać najłatwiej, szukać go  
przecie nie chcemy.

Złoto tak blaskiem swoim połu-  
dziło oczy ludzi, że zapominając na-  
dziedziczne cnoty panowanie, zu-  
chwale ię z tronu zrzuciwszy, bo-  
gaństwo na miejscu iey posadzili. Zło-  
ty ten bałwan, prawie powszechnie  
odbiera ofiary swoje; w ten czas, kie-  
dy iak powierzchowność, tak mózg  
i serce iego z twardego metallu są.

Ofia-

*Ofiarując zebrane Zabawki moje  
JAŚNIE OŚWIECOMEMU WASZEY  
XIAŻĘCEY MOŚCI, trafiaam szczęśli-  
wie na cnotę w naywyższym stopniu,  
z wiadomością rzeczy naydoskonalszą  
i z urodzeniem naywyższym połączo-  
ną. Jeżeli nie masz małości, tylko przez  
porównanie do rzeczy większey; dzieło  
to moje, które na pisma wieku naszego  
dość drobne było, zdaie mi się teraz, że  
prawie niczym iest, porównane z wiel-  
kością tego, który ofiarę odbierać ma.*



VIII

Obywatele Ateńscy, według możności swojej, Sokratesowi dary oddawiają. Eschines tylko powiedział: Ja (mówi) Sokratesie, ubogim jestem; i w tym ubóstwo moje naywięcej dolega mi, że niczego dać ci nie mogę, coby przynaymniej cokolwiek wielkości twojej wyrównało. Skończył Eschines, siebie samego Sokratesowi oddając. Tak i ja kończę.

J. O. W. XCEY MCI

nayniższy fluga

Franciszek Karpiński.

S T E L A N K I.

TOM I.

A







# STELANKI.



DO  
JUSTYNY.

*o Wdzięczności.*

**D**okąd płyniesz, rzeczko mała!  
Niesiesz dań królowi twemu,  
Wodyś od morza dostała,  
Wracasz ją morzu swojemu.

Nic cię w biegu nie zatrzyma,  
Ni drzewo, ni brzeg zielony,  
Justyna z swemi oczyma,  
Ni Koryla flet uczony.

A 2

Justy-

Justyno! patrz, ta smereka  
Jak bardzo w górę się wspina!  
Mniemasz, od ziemi daleka,  
Ze już o niey zapomina?

Spuszcza iey swoje nasienie,  
Ztąd ją młodzieżą okrywa;  
I za samo wyżywienie  
Stem darów ieden dań zbywa.

Być wdzięczną, ty nieznasz tego,  
W twym uporze nie odmienna,  
Nie życzyć ia ci nic złego;  
Aleś iest frogą, kamienna.

Może me zasługi małe  
Niewarte twoiey wdzięczności;  
Ale to serce zbolale  
Warte całej twey litości.

Kiedys cię ktoś spyta z boku,  
A gdzież iest to dobre chłopię?  
A ia w tym wdzięcznym potoku  
Już się na ten czas utopię.

## POŻEGNANIE

*z Lindorą w górach.*

**P**odźmy na koniec smutnego Kluczowa.  
Tam ią w śród łąki będziemy żegnali;  
I choć przed okiem naszym las ią schowa,  
My jeszcze za nią będziemy wołali:

Lindoro! cożeś zrobiła?

Sierotyś nas zostawiła.

Rzeczko ty mała! w które tylko kraje  
Popłyniesz, wszędzie powiadać po drodze:  
Ze już Lindora z nami się rozstała.

Bądź świadkiem, jak iey żaluemy frodze.

Lindoro! cożeś zrobiła? &c.

Powiedzcie lasy, i wy góry dawne,  
Czy pięknieszego co w tych stronach było?  
Jak wy będziecie odtąd z tego sławne!  
Lecz jak się prętko światło wasze skryło?

Lindoro! cożeś zrobiła? &c.



---

Wieśniak swym małym dzieciom kiedyś powie:  
Dziatki! Lindory wyście nie widzieli:  
Piękna, iak wiofna, i czerstwa, iak zdrowie:  
Biała, iak ten śnieg, co się w górach bieli.  
Lindoro! cożeś zrobiła? &c.

Pasterze swoje trzody porzucali,  
Zeby ią widzieć. a harde z pięknego  
Ciała pasterki twarz swą zaśniali.  
Dziatki, ciężkoż wam widzieć co równego?  
Lindoro! cożeś zrobiła? &c.

Już po nad rzeczkę nie będziesz chodziła,  
I bielszey nogi nikt w niey nie umyie!  
Oko wesołe, usta, i twarz miła,  
Wszystko się z twoim oddaleniem kryje.  
Lindoro! cożeś zrobiła? &c.

Nie masz Lindory! czegoż tu czekamy?  
Rozbiegniemy się w różne gór tych strony.  
Co nam po wszystkich? Lindory nie mamy.  
Został nam po niey żal nie utulony.  
Lindoro! cożeś zrobiła? &c.

DO  
J U S T Y N Y.*Tęskność na wiosnę.*

Już tyle razy słońce wracało,  
I blaskiem swoim dzień szczyli.  
A memu światłu cóż to się stało?  
Ze mi dotychczas nie świeci.

Już się i zboże do góry wzbiło,  
I ledwie nie ktoś chce wydać.  
Całe się pole zazieleniło;  
Mojej pszenicy nie widać!

Już słowik w sadzie zaczął swe pieśni,  
Gay mu się cały odzywa.  
Kłucą powietrze prafzkowie leśni;  
A mój mi ptaszek nie śpiwa!

Już tyle kwiatów ziemia wydała  
Po onegdajszej powodzi,

---

W różne się barwy łąka przybrała;  
A moy mi kwiatek nie schodzi!

O wiosno! pókiż będę cię prosił,  
Gospodarz zewsząd strofkany?  
Jużem dość ziemię łzami urosił:  
Wróć mi urodzay kochany.



Rozsta~



## SIELANKI.

---

### *Rozstanie się Medona.*

---

Rzucając trzodę i dawne koczary,  
Zrażony Medon w inſze brał ſię kraie.  
Na próżno mu to Filon ganił ſtary;  
On ſobie mowić i ſłowa nie daie.

Upaſł ſię; znowu radby ſię odmienił:  
Częſto ſię tędy obeyrzy nie znacznie,  
Gdzie ſię Palmiry piękny ſad zielenił:  
Nareſzcie uſiadł, i tak ſpiewać zaczęie.

Ona tam może ze mnie ſię naſmiwa,  
I te ſzy wierne dzieciſtwem nazywa;  
Albo ten żal mój ſądzi za zmyślony.  
Już, mówi, poſzedł Medon naprzykrzony.

Palmiro! ia ſię nie wrucę,  
Ciebie więcey nie zaſnuczę.

W ſrzed pięknych nocy czaſem mi kazała  
Spiewać: iam ſpiewał, chociaſz iuſ i ſpała,

A ſ

Tym

---

Tym sobie ślodząc, gdy mi się przykrzyło:  
Jak się obudzi, będzie iey to miło!  
Palmira się obudziła;  
I wdzięczna mi tego była.

Po wiele razy za iey zgubionemi  
Owcami biegłem przepaściami temi!  
A ona tylko z góry tey patrzyła:  
I owca iey się ze mną powróciła.  
Palmira w rączki zaplefcze:  
Medon, szukay iedney iefzcze.

Raz ią widziałem, iak przy źrzodle piła,  
I śliczną swoią nogę ułtociła.  
Na zaiutrz kwiatem brzeg cały ułłany,  
Tam, gdzie białemi kłękała kolany.  
Palmira mię ślodko wspomnie:  
Medon i tu myślił o mnie.

A w ten czas, kiedy biegła przestraszona,  
Co ią był napadł zły pies Palemona;  
Ja za psem goniąc nogę poraziłem;  
A potym, iak się z sąładem kłociłem?

Pal-

---

Palmira mi wśród swej trwogi,  
Przykłada ślaz do nogi.

Ale się ona dzisiaj odmieniła!

Kiedym iey śpiewał, to sobie przykrzyła,

Przezemnie iey się owce rozproszyły:

W kwiatach przy źrzodle, mowi, kolce były.

Palmira, (o Boże żywy!)

Wyrzuca mi, żem kłótniwy.

W dalekiej iakiej żyć będę krainie,

Gdzie już Palmiry biała twarz nie słyne:

Tam smutno chodząc, dam przykład każdemu,

Jak mało wierzyć fercu kobiecemu,

Palmiro! swojeś zrobiła:

Jam zginął, a tyś zdradziła.

A gdyby ona ieszcze poznała,

I mnie do dawnych łask przypuścić chciała

Medonie! .. próżna nadzieia odmiany;

Jey wyrok zawsze był nie odwołany.

Palmiro: i za cóż ieszcze

Kocham cię? i za cóż ieszcze?...

A 6

Tak

---

Tak śpiewał Medon. Iza mu z oczu płynie:  
Ledwie się podniósł, ledwie że się czuie.  
Na tey, pod którą spoczywał, buczynie  
Tak swoy żal ciężki krótko opisać,

Drzewo to miłay, siekiro!  
Tu rozstając się z Palmirą,  
Łzami Medon wylanemi  
Poświęciłem go moiemi.  
Jeśli z kochających iaki  
Na te kiedy trafił szlaki;  
A także w swojej miłości,  
Kochałeś bez wzajemności:  
Odnów, dla wieku późnego  
To pismo kompana twego.  
A ty, o drzewo kochane!  
Drzewem też będziesz nazwane.

---



DO  
J U S T Y N Y.*o Stateczności.*

O Tóż mój pies powraca do dawnego pana!  
Obroża na nim strzałkana;  
I kawałek łańcucha, którym był wężiony,  
Przyniósł z sobą schudzony.  
Wszakże tam miał wygodę, żywił cię dom  
cały,

Mój ty pocziwy psie biały!  
Przecież schudł; czyby mu porachował krzyże  
Patrz, on mi rękę liże.

Justyno! ten pies mię wzrusza.  
W tobie iakaś twarda dusza;  
Moję stateczność tak dawną  
Zbývá oziębłością iawną.

Sama Dorys onegdzy, gdybyś wiedziała,  
Jak mi się oświadczała!

A 7

Ona

Ona z żalem nademną często mi wspomina:  
Nie kocha cię Justyna!  
Porzuć tę niewdzięcznicę — I płakać zaczęła.  
Mnie także żałość zdjęła.  
Chociem płakał dla ciebie; ona się cieszyła.  
Zal mi iey, że się myliła,  
Wszystko mi obiecywała,  
Zeby mię iak oderwała.  
Słaba to zasadzka była:  
Rozpuła, siła stawiała.

Bogaty Akast rad mię w swym domu przyjmie;  
Co mi nie obiecuie?  
Z iednego z nim puharu pię; iedna stawa  
Przed nim i mną potrawa.  
Wraz z nim chodzę, wraz sypiam: ia go ieden  
bawę,  
Nocy z n'im tęskne trawię.  
Nie ma nic tak drogiego, coby mię znęciło:  
Z tobą mi bardziej miło!  
Sto infżych za ciebie daię:  
Ja zawsze przy tym obstaię:  
Akaście! niechże ia zginę,  
Nie masz nad moią Justynę.

Filon,

Filon, ow mój przyjaciel, ow mój doświadczony,

Raz mię pytał strwożony:

Czego tak sinurny chodzisz? i za jaką stratą

Nudzisz? iam westchnął na to.

Nie iesz, mówił, nie sypiasz, ey, czy nie Justyna

Tego smutku przyczyna?

Płakać potrzeba było; ia czczym śmiechem  
zbyłem.

Przyjaciela zdradziłem!

Otóż mi radził doktory.

W ten czas, gdym dla ciebie chory,

O żadne leki nie stoję.

Justyno! ty zdrowie moje.

Cóż iest? żeś nie użyta na przeciąg tak długi  
Moiey wierney zaślugi!

Często sobie mówiłem: biedny Korydonie!

Lżey ci będzie na stronie.

Porzuć, kiedy niewdzięczna. Potym żal mi  
było

Lat, co się przepędziło

---

Zal i ciebie porzucić. Cóż zrobię stroskany!

Tylko czekać odmiany.

Justyno! pies mój powrucił:

Nie darmo się biedny smucił,

Jego stateczność mię wzrusza.

W tobie jedney twarda dusza!





---

DO  
M O T Y L A.

---

O Jakież skrzydełka iego!  
Barwa błękitna z różowym:  
Na głowie coś zielonego,  
A sam w pancerzu stalowym.

Motyłu, piękny Motyłu!  
Ja ciebie dziś złapać muszę.  
Tylko stanę przy tym dylu,  
Złapię; gałązki nie ruszę.

Do moiej miłej Justyny  
Poniosę cię z skwapliwością.  
Módy ty, Motyłu iedyny,  
Z jakąż cię przyimie radością!

Ona ci porobi klatki:  
Maiem cię w około ofloni.  
Każę zbierać różne kwiątki:  
Jeść będziesz z iey białey dłoni.

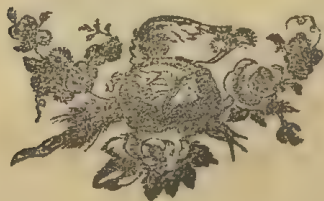
Zeby

---

Zeby ci tęskno nie było,  
Ja szukać drugiego będę:  
Jeśli wam tak w parze miło,  
Jak ja, z Justyną gdy siędę.

Nie bdy się śmierci z iey ręki:  
Zyi, pòki zechcesz na świecie.  
Ona nie patrzy bez męki,  
Choć brzydką muchę kto zgniecie.

Oh! on poleciał w gęstwiny!  
Nie złapię. . . próżno się klódcę.  
Z czymże do moiej Justyny,  
Z czymże ja z pola powrócę?



DO

## SKOWRONKA.

**S**Kowronku! cóż cię tak rano zbudziło?  
Do wschodu słońca ma być jeszcze wiele.  
Ja spać nie mogę, bo mi żyć nie miło:  
Ale co ciebie budzi w twym popiele?

Nie śpię, że moja przy mnie nie nocuje:  
A ty, że tweja przy tobie spoczywa.  
Równo nas szczęście i smutek kosztuje:  
Tylko twój niewczas śladkim się nazywa.

Jakże się w górę coraz wyżej wznosi,  
Zostawiwszy swą samicę wśród roli!  
Niby ją taie, niby o coś prosi;  
Niby się smuci, i niby swywoli.

On zawsze zrana swej kochance śpiewa;  
Ona się cieszy, iak nad nią wzlatuje.  
Czasem nad głosem jego się zdumiewa,  
A czasem sama coś mu potakuje,

Jego

---

Jego gorętszych pora pewnie była  
Miłości, co nim tak w górę rzuciły;  
Która, kiedy go razem wyniszczyła,  
Równo ku ziemi upada bez siły.

Nikt nie opowie żał nie utulony  
Patrzącey na to smutney jego pary.  
Jakaż pociecha! kiedy otrzeźwiony  
Znalazł się blisko swej kochanki szaryi.

Skowronku! ja cię mam za szczęśliwego;  
Skuteczne leki masz na pogotowiu.  
Mnie nie podobno nie zleczy chorego:  
Zazdrość twojej słabości, i zdrowiu.



KORY-



## K O R Y D O N.

**L**ąko zielona! nie zwabisz mię więcej;  
Ani pieszczony przedtym głos pieszczący,  
Ani, swym ślodkim szumem głosząc uczy;  
Strumień mię wzruszy.

Wszystko to z dawną wolnością mi ginie.  
Strumień dziś tylko smutno mrucząc płynie:  
Sama okropność po łąkach przebywa:  
Jęcząc, ptak śpiwa!

Palmiro! wroć mi pierwszą wolność moję;  
Albo weź życie, o które nie stąię,  
Jesteś niewdzięczna, choć wiesz, że cię lubię.  
O... ia się zgubię.

Kiedy to mówiąc, rozpacz już go brała;  
Wszystkiego tego Palmira słuchała,  
Ukryta w krzaku, razem cała zbłądła:  
Bieży, i padła.

Nie

---

Nie gub się, rzekła; mnie żyć z tobą miło!  
Ja miałam miłość, śmiałości nie było.  
Pozwolicie czasem bronić się płci naszej  
Odwadze waszey.

Kiedy ostatnich słów tych domawiała;  
Okropna przedtym ląka odmłodziła,  
Róża się razem rozwiła, ptak w koło  
Spiewa wesoło.



KORY.

## KORYDON SZCZĘŚLIWY.

*Mysł z Katulla.*

Tu, tu, Palmiro! na tey murawie  
Słodkich ust twoich dasz mi całować;  
Tu razem będziemy, w miłej zabawie,  
Pocałowania nasze rachować.

Pocałuję cię naprzód tysiąc razy,  
I potym zaraz razy sto tysięcy.  
Słodka Palmiro! Palmiro bez zmazy!  
Pocałowania wartaś ieszcze więcej.

Ale nie mów, choćby cię kto badał,  
Pocałowania żeć tyle rachuję:  
Ażeby człowiek złośliwy nie gadał,  
Ze się Palmira tak wiele całuję.



SMUTNY

## SMUTNY KORYDON,

*Na śmierć Palmiry.*

Korydon dopadł pożądaney ciszy,  
W której go tylko żwierz lasowy słyży.  
Tam ślet o drzewo tłucze: z nóg się wali,  
I tak się żali.

Już ja grać więcej nie będę na tobie,  
Moją Palmirę położywszy w grobie!  
Już z nią na chłoczie pod sosną nie siędę:  
Grać iey nie będę.

Niech tam wilk frogi dusi moje trzody,  
Niech psie, kto chce, mym kuszem do wody;  
Nie masz Palmiry, co wraz zemną pła,  
Gdy spieka była.

Płacz, mój psie wierny! ona cię lubiła,  
Ona cię syrem i mlekiem karmiła:  
Ty teraz zdechniesz z głodu, mnie z żalości  
Wyschną te kości,  
Przyi-



Przyjdźcie, pafterki, z okolicy całej!  
Na grób iey kwiaty będziecie rzucali;  
I chodząc w koło zimney iey mogiły  
Tę pieśń nucili:

„Palmiro! pewnie ty nie czuiesz tego,  
„Jak boleimy z rozłączenia twego!  
„Ni Korydonem twym się nie turbaiesz.  
„Ty nic nie czuiesz!

„Wczoraś tak miło na nas poglądała,  
„A dziś, iakbyś to nigdy nas nie znała;  
„Zimno u siebie twe siostry przymuiesz,  
„Ty nic nie czuiesz!

„Któż między nami jaką zrobi sprawę?  
„Kto nam na wiosnę powydziła trawę?  
„Kto zgadnie, wiele owce mleka dały  
„Na wydoj całej?

„Nieśmyż, w ostatnie góry i niziny,  
„Smurne sieroctwa nieszczęśliwych.  
„Niech skała skała podaie żal szczyry  
„Z straty Palmiry.

---

Tak iey śpiewaycie. A ia kamień biały  
Położę na iey grobie; i ten mały  
Sam swoją ręką nadgrobek wyznaczę:  
„ Tu swey Palmiry Korydon płacze! „



LAURA

## LAURA i FILON.

LAURA.

JUż miesiąc zeszedł, psy się uśpiły,  
I coś tam klaszcze za botem.  
Pewnie mnie czeka mój Filon miły  
Pod umowionym iaworem.

Nie będę sobie warkocz trefiła,  
Tylko włos zwiążę spleatany:  
Bobyń się bardziej jeszcze spozniła;  
A mój tam tęskni kochany.

Wezmę z koszykiem maliny moje,  
I tę pleciankę różową.  
Maliny będziemy iedli oboje;  
Wieniec mu włożę na głowę.

Prowadź mię teraz miłości śmiała:  
Gdybyś mi skrzydła przypięła!  
Żebym napyrędzey bór przeleciała,  
Potym Filona ścisnęła.

Oto już iawor. ... Nie masz miłego!  
Widzę, że jestem zdradzona!  
On z przywiązania żartuje mego;  
Kocham zmiennika Filona.

Pewnie on teraz koło bogini  
Swey czarnobrewki Dorydy:  
Rozrywkę sobie okrutną czyni,  
Kosztem mey hańby i bidy.

Pewnie iey mówi: że obłądzona  
Wpieram się w drzewa i bory,  
I, miasto iego białego łona,  
Sciśkam nieszczęłe iawory.

Filonie! w ten czas kiedym nie znała  
Jeszcze miłości szaloney;  
Pierwszy razem ią w twoich zdybała  
Oczach, i mówie pieśczoney.

Jakże

Jakże mię mocno ubezpieczała,  
Ze z tobą będę szczęśliwą!  
A z tym się chytrze ukryć umiała,  
Ze bywa czasem fałszywą.

Słabą niewinność łatwo uwiodą!  
Teraz wracając do domu,  
Nauczać będę moją przygodą,  
Zeby nie wierzyć nikomu.

Ale któż zgadnie, przypadek iaki  
Dotąd zatrzymał Filona?  
Może on dla mnie zawsze iednaki,  
Możem ja próżno strwożona.

Lepiej mu na tym naszym iaworze  
Koszyk, i wieniec zawieszę.  
Jutro paść będzie trzodę przy borze:  
Znajdzie... iakże go pocieszę!

Oh nie! on zdrayca; on u Dorydy.  
On może teraz bez miary  
Na sprofne z nią się wydał niewstydy;  
A ja mu daię ofiary...



Widziałam wczoray, iak na nią nirugał;  
Po tym coś cicho mówili.  
Pewnie to dla niey kiy ten wystrugał,  
Co mu się wszyscy dziwili.

Jakżeby moją hańbę pomnożył,  
Gdyby od Laury uwity  
Wieniec, na głowę Dorydy włożył,  
Jako łup na mnie zdobyty?

Wianku różany! gdym cię splatała,  
Krwiał cię rąk moich skropiła:  
Bom twe najmocniey węzły spaiła,  
I z robotą cię kwapiła.

Teraz bądź światkiem moiey rospaczy,  
I razem naucz Filona;  
Jako w kochaniu nic nie wybaczy  
Prawdziwa miłość wzgardzona.

Tłukę o drzewo koszyk mój miły:  
Rwę wieniec, którym splatała.  
Te z nich kawałki będą świadczyły,  
Żem z nim na wieki zerwała...

Kiedy

Kiedy w chroście Filon schroniony  
Wybiegł do Laury splekany;  
Już był o drzewo kozyk sfuczony.  
Wieniec różowy stargany.

## FILON.

O popędliwa!.. o ja niebaczny!..  
Lauro .. poczekaj... dwa słowa..  
Może występek mój nie tak znaczny,  
Może zbyt kara surowa.

Jam tu przed dobrą stanął godziną,  
Długo na ciebie kląskalem:  
Gdyś nadchodziła, między chrościna  
Na umyślnie się schowałem.

Chcąc tajemnice twoje wybadać,  
Co o mnie będziesz mówiła?  
A ztąd szczęśliwość moją układać.  
Ale czekałem zbyt sika.

Pierwsze twoje skargi o Dorys były:  
Sądź o mnie, Lauro, inaczyi.

---

Kogożby wdzięki tamtey wabiły,  
Kto cię raz tylko obaczy?

Prawda: że czasem z nią się bawiło,  
Mając znościomość od długa;  
Ale kochania nigdy nie było.  
Nie już ten kocha, co mruga.

Oto masz ten kiy, po nim znamiona  
Niebieskie gładko rzezane;  
W górze zobaczysz nafte imiona,  
Obłądnym węzłem związane.

Cożem zawinił, byś mię gubiła  
Przez twój postępek tak fregi?  
Czyliż dla tego, żeś ty zbłądziła,  
Ma ginąć Filon ubogi?

Jeśli się za co twych gniewów boię;  
To mię ta rozpacz strapiła.  
Drogom kupował ciekawość moię,  
Łzami ją swemi płaciła.

Ale

Ale w tym wszystkim złość nic nie miała:  
Wszystko z powodu dobrego.  
Ja wiem, dla czegoś tyle płakała;  
Ty wiesz, mój podstęp dla czego?

LAURA.

Daymy już pokoy troskom i zrzędzie:  
Ja cię niewinnym znayduję.  
Teraz mój Filon droższy mi będzie,  
Bo mię już więcej kosztuie.

FILON.

Teraz mi Laura za wszystko stanie,  
Wszystkim-pasterkom przodkuie.  
I do gniewu ią wzrusza kochanie,  
I dla miłości daruie.

LAURA.

Jedna się Dorys wyłączyć miała,  
Jey pierwsze mieysce năznaczę.  
Na to wspomnienie drzę zawŹe cała:  
Cóż, kiedy cię z nią obaczę!

B 5

- FILON

FILON.

Dla twego, Lauro! przypodobania,  
Przyrzekam ci to na głowę:  
Chronić się będę z nią widywania,  
W żadną nie wnidę rozmowę.

LAURA.

Czymże nadgredzę za te ofiary?  
Nie mam prócz serca wiernego.  
Jedne ci zawsze przynoszę dary?  
Przymiły ie, iak co nowego.

FILON.

Któżby dla ciebie nie zerwał węzły  
Przyjaźni, co mię nęciły?  
W twej piękney twarzy wszystkie uwieźły  
Nadzieje moje, i siły.

LAURA.

Ja mam mieć z płaczu po twarzy smugi;  
Ale iak mi się nadarzy,  
Spleść i ułożyć warkocz mój długi;  
Mowią, że to mi do twarzy.

FILON.



FILON.

Gdyby mi Akast dawał swe-brogi  
Ze złotem swoiey Izmeny;  
Rzeklbym: Akaście: tyś ieśt ubogi,  
Bo moia Laura bez ceny.

LAURA.

Ani ia pragnę szczęścia wielkiego;  
Które (choćbym też i miała)  
Za ieden uśmiech Filona mego  
Zarazbym z chęcią mieniała.

FILON.

O światło moje w pośróżd tey nocy!  
Zagrodo mego spokoia!  
Ty ieśzcze nie wiesz o twoiey mocy.  
A ia czuię ia!... o moia!

LAURA.

Położ twą rękę, gdzie mi pierś spada,  
Czy sfyszysz to serca bicie?  
Za uderzeniem każdym ci gada;  
Ze cię tak kocha, iak życie.

B 6

FILON.

FILON.

Day mi ust... z których i niepokoię;  
I razem śródycz, wypływa.  
Tą drogą poszłę zapasy moje,  
Aż gdzie twa dusza przebywa.

LAURA.

Czy w każdym roku taka z kochania,  
Jak w osiemnastym, mroziła?  
Jeśli w tym nie masz pogołowania,  
Jak człek miłości wydoła?

FILON.

Sciśnij twójego, Lauro! Filona,  
Ja cię przycisnę wzajemnie:  
Serca zbliżone łonem do łona,  
Rozmawiać będą tajemnie.

LAURA.

Ty mię daleko ściskasz goręcey,  
A iam cię tylko dotknęła;  
Nie przeto, Filon, kochasz mię więcej.  
Miłość mi, Gły odjęła.

FILON.

FILON.

Lauro! coś dotąd dla mnie świadczyła,  
Jeszcze dowodzi, to mało;  
Ze mię tak kochasz, iakęś mówiła;  
Jeszcze mi prosić, zostało.

LAURA.

Tegom się miała z ciebie spodziewać?  
Jakże to skarga, niezbożna!  
Nie pros, nie każ mi; ty mię chcesz gniewać.  
Kochać cię więcej nie można.

FILON.

Kiedyż mię za to nie będziesz winić?  
I kiedy będziesz wiedziała,  
Co do dzisiejszey łaski przyczynić;  
Ze taka miłość nie cała?

LATRA.

Filonie! widzisz wschodzące zorze!  
Już to drugi raz kur pieie.  
Trochę przydługo bawię na dworze . . .  
Jak matka wstała! . . . truchleję.

B 7

FILON.

FILON.

Zal mi cię puścić; nie śmiem cię trzymać.  
Kiedyż przyspieszy czas drogi?  
Gdy z moją Laurą i słodko drzymać,  
I bawić będę bez trwogi!

LAURA.

Miesiącu! już ja idę do domu,  
Jeźliby kiedy z Dorydą  
Filon tak trawił noc pokryiomu,  
Nie świeć; niech na nich dżdże idą.



## PASTERZ.

*Do Owieczki straconey.*

**N**A te bezdroża, Owco ulubiona,  
Idziesz bez twego pasterza!  
Burzliwy wicher, zima uprzykrzona,  
Ciężkie ci przeyscia zamierza.

Przez którekolwiek krainy przechodzić  
Będiesz, mey trzody ozdobo!  
Wszędzie mój smutek za tobą ma chodzić,  
I tęskność moja za tobą.

Może cię niebo w twych trudach pokrzepi,  
I da bezpieczne noclegi;  
Może cię iako zwierz dziki prześlepi:  
Boś jest tak biała, iak śniegi.

Owieczko moja! dufzy mey dufzo,  
Nadzieio moiey nadgrody!  
Zadne mię teraz rozrywki nie wzruszą,  
Bom stracił czoło mey trzody.



---

Ja się po tobie dosyć nie zasmucę:  
Nie strawię żalu przyczyny.  
Ja dziewiędziesiąt i dziewięć porzucę:  
Poydę cię szukać iedyni.



## DO PRZYIACIOŁ.

*Po rozstaniu się z Rozyną.*

---

G

Oście wy moi, moi przyjaciele,  
Jakże was smutno przyjmuję!

Rozyna moje zabrała wesele:  
Samego siebie nie czuję.

Eilon, połóż mi twą rękę na głowie;  
Klitus niech pierś pilnuje,  
Może się waszym uściskiem pozdrowię,  
Może mi boleść zfolguje.

Jam iey przed samym już wyjazdem śpiewał:  
Ona mię wdzięcznie słuchała.  
Kto wie? może się na tym oszukiwał,  
Ze za mną szczerzy żal miała.

Przyšedł nieszczęsny moment pożegnania:  
Zegna łodkiemi wyrazy.  
Mnie się Rozyna po dwa razy kłania;  
Spoyrzała na mnie dwa razy.

Kiedy

---

Kiedy wychodząc prog nasz przestąpiła,  
Dopiero mnie ból przygniecie.  
Ona coś do mnie jeszcze przemówiła;  
Jam nie pamiętał o świecie.

Gdy się tak we mnie żal z miłością swarzy,  
Na wyższe miejsce wstąpiłem;  
Jeszcze chciałem światła zachwycić iey twarzy,  
Które pomału gubiłem.

W reszcie zniknęła; a boleść przybiegła,  
I tęskność na nic nie czuła:  
Jedna z nich całą głowę mi zaległa,  
A druga, ferce otrufa.

Filonie! wkrótce iedziesz w tamte kraie,  
W których Rozyna giaduie.  
Powiedz iey: że ia życiu memu łaię,  
I że do tych czas choruię.

Ale z nią w długie nie zachodź rozmowy,  
Jeśli chcesz, żebyś wypłynął:  
Słodkimi łatwo zaleie cię flowy.  
Jam sobie ufał, i zginął.

Nie

---

Nie patrz iey w oczy, ieśli chcesz uyść cały:  
W tym ią nacyężey zmocować.  
Niewiem, co tam z nich te rzuca postrzały;  
To wiem, że trzeba chorować.

Chociaż iey nie znasz, sam ią zgadniesz w tłumie:

Poświadczy tamta kraina,  
Co naysięknieyszą ma twarz przy rozumie,  
To pewnie będzie Rozyna.



DO

J. U S T Y N Y.

Drzewa! wyście małe były,  
Gdym się rozkochał w Justynie,  
Dziśście się rozkrzewiły:  
Gałąź wasza chłodeur synie.

Insze mi już owoc dały,  
Com ie w drobnym ziarku sadził  
Na szczęście moiej zuchwały.  
Drzewa! iakżem ia się zdradził!

Ona mnie dotąd nie kocha.  
Choć iej wżgardy wznoszę skromnie,  
Trzyma mię, że ieśt nie płocha;  
Martwi, że niedba i o mnie.

Justyno moia! Justyno!  
Patrz, iak mam usta spieczone:  
Jak z oczu moich łzy płyną.  
Ach! ty nie patrzysz w tę stronę!

Przy-



---

Przystąp ieno ku mnie bliżey,  
Bo wy czasem i leczycie:  
Ta się choroba choć fzyrzy,  
Jey zaraza jest na życie.

Nie wiesz, co miłość kosztuje?  
Jak ogień wnętrzości trawi;  
Jak rdza żelazo zmocuje,  
I raz głęboki zostawi.

Skłonność twoja do litości,  
Głośna w okolicy całej.  
Samey nie znając miłości,  
Ranisz mię, choćem zbolały.

Kiedys tak w uporze trwała.  
Otóż ja cię odstępuję.  
Ach! tyś iakkawie spoyrzała!  
Nie wierz: ja tylko żartuję.

---

## DAFNE I KORYDON.

**J**Akiż to kray ieſt? (Dafne ſię żaliła)  
Ani tu pięknych owiec widać ſiła,  
Ani tu drzewo proſto roſnie w górę,  
Liſciem okryte ledwie znajdzie które,  
I ptaſtwa leſne tu ſpiewać nie umi,  
I pſotok brudny ſmutno tylko ſzumi.  
I lud tuteyſzy dla zupełney zgody,  
Taki, iak owce, drzewo, ptaſtwa, wody.

Korydon, który za drzewem ſchowany  
Wſzyſtko to ſłyſzał, wzruſzył ſię tym znacznie:  
Bo kochał Dafnę, i chciał być kochany.  
Dla tego z żalem odpowiadać zaczęł:  
O Dafne! kiedyś pierwſzy raz ſtanęła  
W tej okolicy; iakoſ nas uieſła  
Twemi oczyma, twym ruſzeniem ciała  
Nie roś, oh! nie to nam obiecywała.  
Wſzyſtko tu ganiſz; aż do drzew i wody.  
Cóż ci zrobiły owiec naſzych trzody?  
Wſzyſtkie poſłuſze ſwemu paſterzowi:  
Zgadają prawie, co im tylko powi  
Zadna ſwą wolą nie pōydzie na ſtronę:

Paſą

Pasą spokojnie, chociaż nie strzeżone,  
 dą na nasze skinięcia z ochotą,  
 Kochaia zwierzchność; i to jest ich cnota.

Piękna topolo! tyś u Dafny krzywa,  
 Tu często pastierz przed słońcem spoczywa;  
 Tu w miłym chłodzie pasterek zabawa,  
 Tu prawie zawsze zieleni się trawa:  
 Mirty! Klorydy tu pochwały śpiwa.  
 Piękna topolo! tyś u Dafny krzywa.  
 Spokoyne drzewa! schronienie pastersza,  
 Mieszkanie ptaków, i leśnego zwierza!  
 Jam jest wam wdzięczny, was za świadków  
 miałem,

Jak często Dafnę tutaj wspominałem!  
 Wyście iey imię przez wasz odgłos miły  
 Całe do moich uszu przynosiły.  
 O iakże mię ta iey niewdzięczność gniecie.  
 Szczęśliwe drzewa, że nic nie czuiecie!

Oto ten czyżyk, ten czyżyk zielony:  
 Tylko od samey natury uczony,  
 Śpiewa, iak umie, swej samicy szary;  
 Ale iey pilnie dochowuje wiary.  
 On na tę gałąź zawsze przylatuie,  
 Gdzie wie, że jego kochanka nocuie.

Ledwie

Ledwie co zorza potanna zaświta,  
Już ją pieśniami swych miłości wita:  
Ona się ciesząc z tej jego ofiary,  
Nową ma słodycz chociaż w pieśni staryj.

Mily strumieniu! brudnym cię nazwano:  
Brudnyś, ale twej cnoty nie poznano.  
Ty zawsze wierny twojemu brzegowi:  
Choć jakie loty zleją, nikt nie powi;  
Zebyś swe dawne opuściwszy brzegi,  
Po obcych łakach miał swoje noclegi.

Tak jest, o Dafne! w którą spojrzysz stronę,  
Wszystko wierności cechą naznaczone.  
I lud tutejszy, dla zupełnej zgody.  
Taki, jak owce, drzewo, praćtwo, wody.  
W tej okolicy, z kądś tu przybyła,  
Może piękniejszych pasterzów iść siła,  
Może ci piękniej miłość opisywać,  
Ale iej nigdy tak mocno nie czują!  
A choćby czuli, pewnie nie na długo.  
U nas jest pania, u nich miłość służą.  
Oni, co miasta często nawiedzaia,  
Tam się obfudy duchem napawaia.  
Nam tu niewinną żyjącym prośtorą,  
Wierność miłością, a miłość jest cnotą.

Tu kiedy pasterz powie, żeś miła:  
Już z tym i umrze, choćbyś go zdradziła.  
Dafne coś chciała mówić o miłości;  
Ale Korydon zemdlał od żalości.

## O JUSTYNIE.

Wyszła Justyna, czas przeminął mglisty,  
Rozzielenił się las mój gałęzisty.

Oczy ma swemi wszystko czaruię;  
Sprowadza burzę, albo wstrzymuie.

Gdzie tylko serce kochające było,  
Wszystko się do iey białych nóg skłoniło.  
Piękna królowo! cóż to się stało,  
Ze w twoim państwie wesołych mało.

Wyszła Justyna, mówić mi zaczęła;  
I zaraz radość serce me przeięła.  
Rzekła: coś mi się o tobie śniło.  
I to iey mówić do twarzy było.

## DZIECI u MATKI.

Głębie lasu obsypał szron ślwy.  
Pościął rzeki Luty przeraźliwy;  
Pławne na brzegi pozarzucił łodzie,  
I kazał chodzić po zdrętwiałej wodzie.

W tak twardej porze Kloryda z Filonem,  
Piękna Palmira z swoim Korydonem,  
Miłe ich dzieci, i przyjaciół grono,  
Wyszli odwiedzić matkę oddaloną.

Próżno ich tyłkie zatrzymują śniegi,  
I lodem wzdęte odpychają brzegi.  
Przeszli zawady; bo miłość szła wprzód;  
Zmiała śniegi, i topiła lody.

Już się na koniec po długiej podróży.  
Znałomey sobie dobrali ostryż.  
Filon, co w młodych latach tędy bywał,  
Znaczniejsze miejsca dzieciom pokazywał.



- 
- „ Ta, mówi, miedza końcem gonitw była,  
„ Gdy się ruchawa Chloë rozegżyła.  
„ Temu, co pierwey przy nogach iey stanie,  
„ Dawała iabiko; i pocałowanie.
- „ Tu często Filis przy tym źrzodle spała,  
„ Tu różno-wzorą kość zaplatała.  
„ Tu ią Korydon raz napadł w kąpielu;  
„ Za co się potym długo nie widzieli.

- „ W tym lesie Oront od swych psów ziedzony.  
„ Stracił na psarnię swóy byt, wiano żony;  
„ A potym chodził od głodu wybladły.  
„ A cóż, nie prawda? że go swe psy ziadły. „

Tak rozmawiając, w reszcie u wrót staną,  
I powitaią zagrodę kochaną.

Ale Korydon zaczął im rozwodzić:

„ Mnie się nie zdaie całym tłumem wchołzić.

- „ Wielkie pociechy szkodliwe bywnią,  
„ Ze nam się bardzo rzadko przytrafiaią;  
„ A do nieszczęścia człek przyzwyczajony  
„ Zniesie go łatwiey, iak z nim oswoiony.

„ Niechby Palmira ze mną, z dzieckiem małym  
 „ Weszła napierwey; a wy potym całym  
 „ Przydziecie tłumem. Tak idąc powoli,  
 „ Radość nie cięży, i smutek mniey boli. „

Poszli za radą, i wnet się wkład wkradną;  
 Ale ich czuynę sobaki opadną.  
 Bris' wyśłużony uszyma postrzyże:  
 Poznał swe pany, i ręce im liże.

Strach się dopiero w pasterkach ugasi,  
 Gdy widzą, iak się Filonowi łasi:  
 Skacze do góry w radości niezmierney.  
 Ten co miał kąsać, wzruszył ich pies wierny.

Palmira z swoim miłym Korydonem  
 Wiadomym iemu przebiegła uchronem.  
 Przyszli podedrżwi nic nie postrzeżeni,  
 I mroźną odzież strzepywali w sieni.

Justyna w ten czas modły gorącemi  
 Błagała Boga za dziećmi swoimi:  
 „ Jeżeli, powiada, choroba im szkodzi,  
 „ Jeżeli nad nimi zły człowiek przewodzi;

„ Jżżli

„ Jeżeli zamysłom ich opak się wiedzie,  
„ Jeżeli zmartwienie maia w złym sąsiedzie?  
„ Ty, który lubisz wspierać łaską człowieka,  
„ Odmień to, Boże, coś dobry od wieka!

„ Niech się rozrodzą w mnogie pokolenia,  
„ Jako te drzewa ich ręki szczepienia.  
„ Niech pamiętaia na twoich łask sła,  
„ A potym na mnie, com ich porodziła. „

Gdy matka takie nabożeństwo trzyma;  
Weszła Palmira z siwemi oczyma,  
Dziecie na ręku, gładka w twarzy, w stanie:  
Za nią Korydon przyszedł niemieszkanie.

„ O dzieci moje! (zawoła Justyna)  
„ Jakże to prętko Bóg na mnie wspomina.  
„ On mnie wysłuchać, ledwie wymówiła,  
„ Daie mi łaskę: iam nie zasłużyła!

„ Niechże tu całe sąsiedztwo się zgarnie;  
„ Niech wezmą owcę najlepszą z owczarnie,  
„ I niech to wino dobędą co pręcy,  
„ Coby go mógł pić choćby syn książęcy.

„ O wielki Boże! cóżbym jeszcze dała,  
„ Zebym Filona dzisiaj oglądała!;  
Na to Korydon: „ Matkę wszyscy znamy;  
„ Filon tak kocha, iak i my kochamy..”

W tym weydzie rzeźwa Koryda z Filonem,  
Z piękniemi dziećmi, i przyjaciół gronem.  
Rzuci się matka, i za iey z ocz wytryśka:  
Mówić nie może, i tylko ie ścisła.

Kiedy tym zbytkiem radości się poią,  
I dzieci matkę otoczyły swoia;  
Dawszy coś czasu na płacz pożądany,  
W refszcie zaczęli śpiewać na przemiany.

## PASTERKI.

Zwarzyła zima piękne nasze zioła,  
Cośmy z nich wili wielo-farbe pleci:  
Otaczając cię z radością do koła,  
Oto masz, matko, wieniec z twoich dzieci.

## PASTERZE,

Mile kofzary i siodką zagrodę  
Porzucił palterz; do matki się śpieszy.

Któż

Któż za swe trudy miał większą nadgodę?  
My iey śpiewamy, a ona się cięży.

## WSZYSCY RAZEM.

Święta miłości ku rodzicom dzieci,  
Co pierwsza świecisz pomiędzy gwiazdami!  
Jeżeli do ciebie ten głos nasz doleci;  
Mów tam za matką naszą i za nami.

Bóg w ten czas spoyrzał z wyfokiego nieba.  
Nad to, co ieszcze żyć im było trzeba,  
Przyczynił wszystkim wieku tyle drugie,  
Zeby z nich przykład brały lata długie.



---

NA  
ODMIENIONE  
NAD-PRUCIE.

---

**P**Rucie! w którego przezroczyſtey wodzie  
Białe umywa nogi Pokucianka,  
Pożal ſię Boże! inż po twej ſwobodzie,  
Po twych rozrywkach w wieczór od poranka,  
Ja ſiadłszy nad twoim brzegiem,  
Patrzyłem z roſkoſzą duszy,  
Jak czaſem ſlicznym ſzeregiem  
Pań twoich nabor ſię ruſzy.

Te częſto w iedną zebrane gromadę,  
Przy twoich wodach obóz zakładają.  
Weſołych ſwoich zabaw czyniąc radę,  
Przechodnia w iego drodze zatrzymały.

Ta leżąc pod krzakiem ſpiewa:  
Ta iakąs do ſwych ma mowę.  
Inſza co ſmielſze zagrzewa:  
Przebrniemy rzekę Prutowę!

Drugie



---

• Drugie po równym goniąc się zarynku,  
• Za Korydonem kamyczki rzucają:  
Tylko mu przez to nie daią spoczynku,  
Ale samochcąc w niego nie trafiają.  
Potym zgonionego, hurmem  
Obśladłszy, gnieta kolany.  
On ledwie dysząc pod szturmem,  
Ciszy się, że jest złapany.

Prucie! iakżeś jest bardzo odmieniony.  
Wody twe dzisiaj cicho upływają.  
Smutnym gra tonem Korydon zniszczony.  
Slicznych twych córek ścieżki zaraftają,  
Nie słysząc głosu Klorydy:  
A Filis smutnemi ściegi  
Wyżywa klęski Dorydy.  
Ja przecie kocham twe brzegi.

---

## N I C E

*Do Nieśltecznego.*

JUŻ wiosna kończy odmiany,  
Świeci pogoda dzień cały;  
Filenie nie utrzymany!  
Tyś tylko jeden nieśtały.

Wspomniy na pierwsze momenta  
Poznania się naszego;  
Jakem ja była kontenta  
Być więźniem więźnia moiego.

Jam ci się oddała całe  
Serca nacytyłszą ofiarą;  
Ty nim tak gardzisz zuchwale.  
Niech ci ten będzie dar karą.

Filenie! Słyszysz te grzmoty?  
Ja na cię pomsty nie kładę.  
Ale wiedz dla twej zgryzoty,  
Ze się mści niebo za zdradę.

---

NA POSĄGI  
*Rolnictwa i Poetyki.*

---

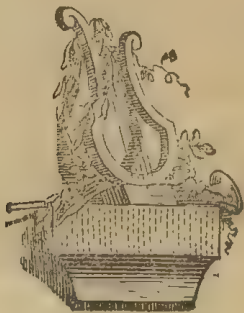
**P**iękne boginie młodego świata!  
W ten czas, gdy jeszcze kochał brat brata;  
W ten czas, gdy żadney nie znano wojny,  
I było szczęściem, żyć wiek spokojny.

Jedna z potrzeby, druga z miłości  
Matek zrodzone, wyście w słodkości  
Światem rządziły; przychylnie człeku  
Dwie równienniczki pierwszego wieku.

Dzisiaj po większey części pogardzone  
Poszłyście w kraie jakieś oddalone:  
Tu tylko wasze obrazy zostały,  
Marne te dawney wyrażenia chwały.

Wróćcie się wielkie ziemianów boginie!  
Zbiorę tych jeszcze, gdzie wasza cześć sływie.  
Wystawię ołtarz, pierwszy was pochwale:  
I sam wam święte kadzidło zapalę.

A potym u nóg waszych wraz z Justyną  
Złożę ofiarną pszenicę i wino.  
Wy nam obojgu w ten czas pozwolicie  
Spiewać szczęśliwe kochających życie.



PRZY-

PRZYKŁAD  
UCZYNNOŚCI.



C 7

PRZY-







PRZYKŁAD  
UCZYNNOŚCI.  
DLA BLIŻNIEGO.



**A**lmanzor między sąsiadami był, iak ociec  
w pośrodku dzieci swoich. Drzwi iego otwar-  
te dla każdego; i głodu we wsi nie było, póki  
u niego chleba stawało. Ale niebo zamknęło de-  
szcze: i sucha rola stała się niewierną; straci-  
wszy zupełnie nasienie; i przyszłego żniwa na-  
dzieję,

dzieię. Stało się, czego się bano, przyszedł na koniec głód ciężki, i znalazł każdego w domu swoim. Dzieci, ten robak iedzący ustawicznie, patrząc na ręce matki swojej z płaczem wołają chleba, którego im tak dawno obiecywała: a ona, próżno wytrząsa naczynie, w którym chowała zboże; i jeszcze im się do jutra prosi. Indziej, niestrawną żołądźią napchany wieśniak puchnąć zaczął. Strapiony wierny przyjaciel jego radby go do śmierci ubiegł; i zdaie się być spokojniejszym, kiedy także na sobie równą puchlinę postrzega. Siedząc pod dębem, który ich truczną żywił, przyrzekają sobie wzajemnie, że pierwey zmarły pogrzebiony będzie przez pozostałego; a poglądając smutno na doł, który sobie już wykopał, przyczyniają jeszcze boleści, wspominając na dzieci swoje po lesie rozpierzchnione.

Powietrze, ten wierny towarzysz głodu, już się zbliżało; kiedy Almanzor, przechodząc z synem po ulicy, napadł leżącego na ziemi człowieka zemdlonego, i w pół obumarłym głosem pożywienia proszącego. Wzruszyły się wnę-

trzn-

trżności iego, i pomyślił sobie: na cóż mi tych sprzętów w domu, jeżeli za nich chleb kupiony sto ludzi od śmierci powróci? podzielę tę odrobinę zboża, którą mam jeszcze, po między bliźnich moich; poiadę w kray iaki cudzy, gdziebyu za mój dobytek chleba dostał.

Tak myślił litością zdięty, i do syna swiego mówić zaczął. „Rastanie, synu mój! wi-  
„ dzisz te siwe włosy na głowie moiej; znaki  
„ to są lat wielu! przecież jestem rzeźwy, i  
„ lekarz żaden w domu moim nie pośtał. Szczę-  
„ śliwy to skutek przedstawiania na małym, bez  
„ zbytecznych zabiegów, pomierności w napo-  
„ iu i pokarmie, bez wyszukiwania ich zbyt  
„ wymyślnego; trzymania się zawsze prawdy,  
„ bez pobbłaszania nikomu; udzielnosci dla bli-  
„ żniego, bez fałszu; znoszenia przypadków,  
„ bez pochylenia się; szanowania religii, bez  
„ badania się w skrytościach iey: a ztąd błogo-  
„ stawieństwa nieba. Powiedz mi, synu! pa-  
„ trząc na tego z głodu umierającego człowieka,  
„ uczulżesz tę siłę mocnego politowania,  
„ która zdaie się rozrywać wnętrżności? Po-  
„ trzeba

„ trzeba, dziecię moje, skoczyć w wodę, aże-  
„ byś tonącego brata twoiego poratował; po-  
„ trzeba nie żałować krwi twojej, jeżeli bli-  
„ żni twój inaczej obronionym być nie może.  
„ Któżby dopiero marnego zbioru żałował,  
„ żeby nim drugiego w potrzebie nie wspo-  
„ mógł? Jużem, jak widzisz, poświęcił; a za-  
„ wsze sfałdowi chlebem i pieniędzmi moimi  
„ służąc, dotąd przecie niczego żądny nie by-  
„ łem. Rozdaymy na zgłodniałych, co mamy  
„ pożywienia, weźmy tę trochę pozostałych  
„ pieniędzy; i szukajmy rychło w cudzym  
„ gdzie kraju chleba dla braci naszych. Nie  
„ stracimy na tym, synu mój! Ile tylko razy  
„ miałem sposobność udzielenia chleba mego  
„ potrzebny, zawsze to u mnie było zna-  
„ kiem wielkiego urodzaju w roku przy-  
„ szłym. „

Tak Rustana uczył Almanzor. Roześłał za-  
raz pożywi nie potrzebniejszym: zabrał pie-  
niądze wszystkie, i cokolwiek z kosztownych  
sprzętów zabrać się mogło; i ruszył wraz z sy-  
nem w drogę.

Po

Po dniach kilku podróży, nocleg im przypadł w lesie, zwierz dziki w nocy poszarpał bydłeta, któremi iechali: a strwożonemu ztąd Ruftanowi, tak ociec smutek rozwodził. „Ty, „ widzę, synu! długo żyć nie chcesz, kiedy się „ tak łada przypadkowi podaiesz. Jak tylko „ wierzysz, że z ręki Boskiej wychodzi wszy- „ stko; na kogoż narzekać będziesz? albo kie- „ dy narzekanie, choćby naywiększe, szkodę „ komu powróciły? z drugiej strony: Opa- „ trzność o każdym swoim myśli stworzeniu. „ Zwierzowi drapieżnemu wyznaczyła część „ między bydłętami naszymi; i nie na to stwo- „ rzonym jest, żeby głodem morzony był. „ Niżeli człowiek uglaśniał rodzaj koński, i „ pochlebnemi nayprzod uwodząc go sposoba- „ mi zdradliwie, potym do ciężkiej zaprzągi „ pracy; co rozumiesz? iak wiele przed tym „ wieków upłynęło, że konie bez przeszkody „ pod wilków były panowaniem? a to im pra- „ wo Bóg i natura w sercu ich napisała. Roz- „ sądźże teraz między wilkiem i człowiekiem; „ a pamiętaj nadewszystko, żebyś usprawiedli- „ wił Boga i naturę. „

Stanęli

Stanęli nakoniec w mieście, w którym żywności dostać spodziewali się; ale tam zastali surowy zakaz przedawania zboża, a to dla bójczy grodu, którym także groził niedostatek. Dla tego, potrzeba było wiele ieszcze przysięgnąć drogi i wydatku; niżeli na reszcie przyszli do miasta, gdzie kupić można było.

Długą podróżą wycieńczeni, i niepomiarkowaną ceną zagadnieni, przedawszy sprzęty, i obrachowawszy resztę pieniędzy, znaleźli się w niedostatku, że ledwie kupione za to wszystko zboże, na domby ich wystarczyć mogło. W tym ciężkim stanie, oddaleni od swoich, bez przyjaciela i znajomego, (bo tam już nie słygnęły cnoty Almanzora) byli przymuszeni z żalem powracać z próżnymi rękoma do domu swego; kiedy Ruftan mówić zaczął: „Oycze „módy! pamiętam nauki twoje; i widziałem, z „jaką przychylnością byłeś o dobro bliźni ch. „Na cóżbym żył na świecie, gdybym się nie „starał naśladować ciebie?... iestem młody, „zdam się do pracy. Znajdziesz łatwo w tym „mieście pana jakiego, który mię w niewolę „kupi.



„ kupi. Za te pieniądze dostaniesz zboża; a  
 „ powróć twój do domu ożywi tyle ludzi u-  
 „ mieraających. Ja tylko na wolności mojej  
 „ tracę; a iakoś mię nauczał: potrzeba życie  
 „ nawet same ofiarować dla życia bliźniego  
 „ mego. Nie będzie komu płakać za inną w  
 „ domu naszym; (na coby ci patrzeć za przy-  
 „ kro było) matka stara już umiera. Ani ja w  
 „ zaprzędaniu moim będę się mógł smucić, za-  
 „ wsze sobie przypominając: że współ-oby-  
 „ watele moi żyją wdzięczni oycu moiemu. „

Łzy się rzuciły z oczu Almanzorowi, które  
 i smutek nad utratą tak dobrego syna, i radość  
 nad wielkością cnoty jego wycisnęły. Tak jest,  
 synu! tak (mówił Almanzor, łkaniem przery-  
 wając słowa) z pociechą patrzy niebo na ofia-  
 rę twoją. Bronić ci tego nie mogę; chociaż-  
 bym cię nie chciał tracić z oczu, poki jeszcze  
 cokolwiek temi słabemi oczyma widzę. Mnie  
 lata zrobiły nie zdatnym do niczego, że ci te-  
 raz tylko zazdrości muszę. Bądźże wiernym  
 panu, który ci się trafi. Jeżeli ci się co przy-  
 krego od niego przyda; znoś zawsze skromnie,  
 i w bo-

i w bojaźni, iak niewolnik. Pokorą go uspokoisz; pokorą miłość sobie u niego ziednasz. Nie oszłukuy go w pracy twoiey; a w słowie twoim bądź rzetelny, i itateczny.

Piękny z oblicza Rustan, i w samym kwiecie rzeźwey młodości, znalazł prętko na siebie kupca. Znaczne pieniądze odrańhowano Almanzorowi, z umową; ażeby, jeżeli syna uwolnić zechce po trzech latach, z zwyczajnym pożytkiem oddane były: inaczej, wiecznym zostanie u pana swego niewolnikiem.

Dobrze opatrzony w zboże Almanzor powracał do domu; kiedy z daleka współ-obywatele, poznawszy wozy dobroczyńcy swego, tłumami przeciwko niemu wyszli. Już się im przebrało było podzielone równo między nich pożywienie; i matki często wysyłały dzieci swoje na gór wierzchołki wyglądać powrotu Almanzora. Idźcie (mówiły) on tam w polu, iefzcze nie doieżdżając, chleb wam rozdawać będzie, jego pożegnania, i nayspierwsze z nami powitania, były zawsze dobroczynne. Ale długo po-

wra-

wracały do domu dzieci spłakane, niżeli przyszedł nakoniec dzień obfiteści i pociechy powszechney, którą płacz żalu i wdzięczności pomieszał; kiedy się dowiedzieli, iak się dla nich wspaniale Ruftan ofiarował.

Zniwo przyszłe było pełne, i następujące lata urodzayne zrobiły raność w kraju; a ztąd poszła trudność przygotowania się na wykupienie Ruftana. Kiedy już blisko następował czas odwożenia pieniędzy; przyjaciel swoich zastał Almanzor albo w niedostatku, albo niewdzięcznych. Już i minęła pora umowiona, strapiony ojciec! wreszcie odważył się iechać po syna, chociaż znaczney ieszcze części pieniędzy nie miał. Chciał na miejscu jego zostać; a syn uwolniony prędkieby się o resztę postarał. Ale ciężka choroba zatrzymała go w domu, którą nieznośny frasunek i praca wielka w tak późnym wieku spowodziły. Czekał na łożku od dawna śmierci, niczym nie pocieszony starzec. Stracił i oczy, których nie żałował, straciwszy (iak mówił) Ruftana, i nie mając już na co patrzeć na ziemi; kiedy nagle, jeden już tylko pozo-

pozostały z sług jego, a wiernie go w chorobie pilnujący, o powrocie Rustana znać mu dać. Porwał się jeszcze z łóżka umierający Almanzor; i zdało mu się z radości, że na nogach stojąc z synem się swoim przywita. Ale w tym nadszedłszy Rustan: nie wstaway, mówił, oycze, ty widzę słabym jesteś! o iakże to pociechę moją miesza. „Ja, synu! nie widzę, rzekł „Almanzor; ale poznaię głos twój. Rustanie, „synu mój! ja cię podobno krótko i słyseć „będę. Powiedz mi rychło, iakim sposobem „wyszedłeś z niewoli twojej? bo się obawiam, „ażebys ucieczką pana twego nie zdradził. „— Nie, oycze mój! odpowiedział Rustan. Jam szedł zawsze za napomnieniem twoim. W pracy, którą mi naznaczono, byłem pilny: a co mi czaśu nad to zbywało, pomagałem innym niewolnikom słabszym i wolniej robiącym; chcąc ich przez to od kary uchronić, i nie dawać przyczyny do zagniewania pana. Nigdy tam nikogo nie oszukałem, i nikt mnie o nic nie strofował. Uważał wszystkie kroki pan mój; i poznałem to, że miał przywiązanie

zanie do mnie. Kiedy przyszedł czas wykupu mego, a nikogo z pieniędzmi nie było widać; zawołał mię do siebie, i tyle mi tylko powiedział: „Pieniędzy nie masz: czas wyszedł: „znasz opis: już moim jesteś. „Prawda; że w ten czas zapłakałem, wspomniawszy sobie, że już na wieki domu mego nie zobaczę: bo nie wiedziałem, iak blisko mnie było szczęście moje. Pan mój pierwszy raz obaczywszy izy moje; nie mógł się dłużej utrzymać z dobitmi dla mnie myślami swoimi, przycisnął mię do siebie, i sam ocierał izy moje. „Ty, powiada, Rustanie! lepszego losu wart jesteś. Zał ci zapewne domu; i będziesz go widział! „Przecież cię inaczej od siebie wypuścić nie chcę; tylko ażebym wraz z oycem twoim „równe mógł mieć do ciebie prawo. Mam córkę, która będzie bogatą, z tobą, Rustanie, „będzie i szczęśliwą. Jedź do oycy: powieź mu odemnie dary; proś o błogosławieństwo. „Niech się tu sprowadzi do mnie, albo ja pojadę ze wszystkim do was; mieszkać w tym „domu szczęśliwym, gdzie razem i cnota mieszka. „

Almanzor, zaczął błogosławić syna; i już to ostatnie słowa jego były; bo wkrótce potem na ręku Rustana skonał.



RÓŻNE WIERSZE.

D 2





C

R

N

P

S

A

L



# Z A B A W A

NA USTRONIU

*Myśl z Angielskiego Arystypa.*

---

Czyli pogodne słońce świecić będzie,  
Czyli się niebo chmurami zakryje;  
Równiem ja kontent, w szybkim lat mych pę-  
dzie  
Na tonie słodkiej spokojności żyję.

Prawda, że człowiek podległy jest, żeby  
Smiał się, lub płakał: bał się losu swego,  
Albo wyniośle żył; według potrzeby  
Losu, w światowy rząd wpływającego.

D 3

Jak

Jak Kameleon, co łatwo przyłmuje  
Zbliżonych rzeczy kolorów odmiany;  
Albo instrument swym brzmieniem to czuie,  
Jakiem gra tonem drugi z nim związany.

Tak człowiek, czym jest oroczony w koło,  
To się na jego miękkości piętnuje:  
Z odmianą rzeczy, i on raz wesołą,  
Drugi raz smutną postać okazuje.

Filozofia, którą inśi może  
Szczęśliwym nazwą głupstwem, mnie prowadzi  
Za rękę, krwawę śladząc mi bezdroże:  
W śród śmych ciosów wesołą wysł radzi.

Ja w małych rzeczach, co mię w smutek wiodą,  
Przez moją sztukę śladyczy kosztuję.  
Co inśzych więzi, to dla mnie swobodą;  
Ja i w złym nawet dobre wynayduję.

Naprzykład w lasku w śród nocy głęboki,  
W ten czas, gdy słowik żalofną pieśń śpiewa  
Swoich miłości, że same obłoki  
Porusza jego skarga uciążliwa:

Na

Na wszystkie iego jednakim odmiany.  
Czyli się zdaie płakać przez głos cienki,  
Czy łaiac grubiey; ukontentowany  
Słucham wdzięcznego śpiewaka iutrzenki.

Tu echo z iego groty mchem utkanyi,  
Po skałach bliżkich ciężki żal rozdaie:  
On się tym bardziey uciśka strofkany,  
Gdy powtarzają to, na co on łaię.

Z wierchołka góry lecąca kaskada,  
Tłukąc się o głaz, niesie szum daleki;  
Z dębami, które po drodze napada,  
Oblewając ie, żegna się na wielki.

W dolinie, wraz się iey wody złączają,  
Po dnie krzemiennym płynąc lżeyszym biegiem,  
Tam, mrucząc śmuto, niby powiadaia,  
Zabawny iakiś romans przed swym biegiem.

Ja w ten czas w stódkich myślach zatopiony,  
Rozpamiętywaui starych wieków dziaia;  
I zapuszczam się tak, w kray oddalony,  
Którędy noga ludzka nie chodziła.

Uważam potym: iak cierpiła wiele  
Ta młodzież, której sławne przeciwności  
Są popisane w Pamięci kościele,  
Przez nieśmiertelnych zaplanów wieczności.

Ta mię myśl w dzikie mieysca zapędziła,  
Bez bidzenia się życia troskliwością:  
Która, ieżeli mię kiedy napadała,  
Jam ją ugłaskał samą odludnością.

Zawsze posłuszny memu Desygnowi,  
Przeciwko niemu nie walczę, ale się  
Natarczywemu podając szturmowi,  
Płynę za wodą: gdzie chce, niech mię niesie.

Ledwie nad brzegiem bystrego potoku  
Młoda latorośl że się rozwinęła;  
Przypadkiem burza, przy wielkim wód stoku,  
Słabę iey gwałtem gałązkę odjęła.

Ta w potok wpadłszy, czasem wierzchem płynie,  
Posłuszna wodzie, która ją unosi;  
A czasem w warcie pograżona ginie,  
I znowu niby na wierzch się wyprosi.

Tak

Tak miła miasta, góry, doły, knieie,  
Gorące piaski, i ciemne dziezizny;  
Aż utraciwszy powrotu nadzieię;  
Niezmierne morskie polkną ią głębiny.

Mój to jest obraz, na wszystkie obroty  
Ostrego losu, wypogadzam czoło;  
Byłem mey nigdy nie odstąpił cnoty,  
Jak mogę, nie iak chcę, żyję wesóło.

Na swoich skrzydłach niesie mię czas prętki,  
Jak ta gałązka, co po wodzie płynie,  
W mieyscu wszelakim mój się humor giętki  
Uchyła, że go srogi pocisk minie.

Zartuję z tego, co tylko w szeleście  
Świata, przechodząc, słyszę o przykrości;  
Aż poty, póki i ia też na reście  
Nie pogrążę się w zakręcie wieczności.

Niech opętani przez interes ludzie  
Biegną za szczęściem po tej ostrej drodze  
Srzodkiem przypadkow, po największym trudzie  
Niech płaczą, że są oszukani frodze,

---

Jam dostał nici, przez którą wiedziony,  
Ułożonych mi doydę pomyślności,  
Nie będąc nigdy niczym omamiony  
W tym z czarowanym kraju szczęśliwości.

Przywiązywać się do iey wyszukania  
Nie chcę, ani się o nią przypodchlibię; -  
A bez wielkiego żyjąc zabiegania,  
Pewnym jest, że ią gdziekolwiek nadybię.





## B R U T U S

*o Nieśmiertelności Duszy.*

**B**Rutus w pośrodku Rzymian, iak w śród  
braci żyje:

Głodnemu chleb swój daie, nagiego okryie.  
Sławy bliźnich nie szarpie, cudzego nie chciwy,  
Nie rozpustnik, nie chytry, nie zdrayca, nie  
mściwy:

Przykładem iest w kościołach, i pomocą w ra-  
dzie;

Przy dobru pospolitym życie swoje kładzie.  
To sobie zawsze za wzór życia miał prawdziwy:  
Brutusie! bądź pocziwym, a będziesz szczę-  
śliwy.

Otóż Oyczyzna ginie; z tą wolnością starą,  
Z tą braterską równością: staie się ofiarą  
Zuchwałości iednego! kościoły złupione,  
Domy obywatelkie w popioł obrocone:  
Wszystkie kąty Rzymskiego państwa pełne  
woyny,

Gdzie krew leie domową Cezar niespokoiny.

Na taki to Rzym patrząc Brutus sprawiedliwy,  
 Płacząc gorzko, pomyślił: także to złośliwy  
 Nad cnotą weźmie górę? i uydzie bezkarnie  
 Z łupem zdartym z przeciwnych? i także to  
 marnie

Wydziera matkom dzieci, i ołtarzom złoto!  
 A Bóg się i natura nie upomi o to? . . .  
 Bogowie! jeśli cnotą moją się zasłonię,  
 A wyście sprawiedliwi; ja Rzym ten obronię.  
 Tak myślił; i do boku broń swą przypasał.  
 Próżno wierna czeladka płacząc zatrzymuje:  
 Rzuca dom, zbiera wojsko na Cezaryany,  
 Pewien przy dobrej sprawie i cnotcie wygranej.  
 Brutusie! cóż ja widzę? wojska tve zniezione;  
 Nadzieie tve: upadłe, pierśi krwią zbroczone!  
 Z których szlachetna dusza (o oyczyzny strato)  
 Przez rany dobywa się. A Brutus mi na to:  
 „*Fraszka cnota, i próżne ma tylko nawisko.* „  
 O Brutusie! i za cóż tak ją kładziesz nisko?  
 Którey tron nad poziemi rzeczy podnieść  
 chciano,

Którey tryumf na ziemi być prześladowaną!  
 Brutusie! . . synu Bogów! synu ukochany;  
 Obaczysz, żeś w tej cnotcie nie jest oszukany.

Zna-

Znamienitego życia nie płam końcem takim:  
Ty zawsze byłeś wielkim; bądź w śmierci ie-  
dnakim.

Na polach Filippińskich pod iednymże głazem  
Sławy i twej nadziei z ciałem nie kładź razem.  
Jeśli Bogowie rządzą; rząd ich sprawiedliwy.  
Toć, jeśli tu nad cnotą przemaga złośliwy,  
Jeżeli zuchwałemu wiedzie się śtatecznie;  
Dusza twa nieśmiertelną być musi koniecznie:  
Bo gdyby umierała; Ah! źleby zarządzili,  
Zeby zbrodniom niewinność gnębić pozwolili:  
A złoczyńcom, w nadgodę złości ich, służyło  
Szczęście, i to się wszystko wraz z śmiercią  
kończyło.

Dziś: iefzcze twą nadgodę odbierzesz: W tym  
z ciała

Czysta dusza Brurusa ku niebo wzleciała.

---

---

---

DO  
P R Z Y I A C I E Ł A .

---

**T**Y jeden umiesz tzy z oczu ocierać,  
Ty strapionemu sercu folgę czynić;  
Od ciebie można zarówno odbierać,  
Czyli chcesz chwalić, czyli za co winić.  
Na twoim łonie zasnąć mi najmilij;  
I twoja rada, naylepiey posili.

Na równa części los mój z tobą dzielę,  
Ty jeden wchodzisz w skrytość mego ducha.  
Razem się z tobą smucę, czy wesełę;  
Ciebie uparta nawet skłonność słucha.  
Twój rozum moję popędlivość trzyma.  
Takiinbys miał być, ale cię nikt ni ma.

---

---

SZCZĘ.

---

SZCZĘŚCIE,  
CZYLI  
OPISANJE RAIU.

---

Któż to jest nad tym brzegiem czystego po-  
toku?

Szyfak z głowy zdeymuje, i broń swą od boku  
Odpasuje. Uczciwa na głowie siwizna;  
I tyle bliźn! może to jego jest oczyzna,  
Z którą on przy wodzu swoim zawsze wierny  
Od młodości boiował; i kray ten niezmierny  
W nadgodę trudów swoich posiada spokojnie.  
Zdaie się: że o dalszey już nie myśli wojnie:  
W twarzy jego spokojność; którą człowiek  
miewa,

Co się znikąd przykrości żadney nie spodziewa.  
Często broń swą ogląda, co w potrzebach wielu  
Chwalebnie ie doświadczał na nieprzyjacielu.  
Z pociechą razy po niey rachując wspomina;  
Co poniośł, co go która kosztuje godzina,

Znać;

Znać: że w iakiśnś długim być musiał nie-  
wczasie.

Z bladej twarzy rumieniec słaby dobywa się,  
I chociaż mu siwizna głowę obsypała,  
Młodość z ciała całego ustąpić nie chciała.  
W kray ten piękny nie dawno ma być sprowa-  
dzony;

Bo słucha, bo na wszystko patrzy zadziwiony.  
Lecz króźby się nie dziwił? W tym to mieyscu  
cała

Natura z swoiemi się skarbami wylała.

Czysta rzeka, przez szrodek niezmierney pła-  
szczyzny,

Z wolna płynie. Tyśiącem kwiatow brzeg iey  
żyzny

W wodzie się odbiiając, ogród nowy grodzi;  
W którym bezpieczna ryba śmiało się przecho-  
dzi,

I w zbytku swych roskoszy w górę podskakuie;  
A tak, piękny swój ogród nierozmyślna psuie.

Indziej, gaik zielony nad samym wod stokiem:  
Tam się ptaćta drobnego naleciało tłokiem.

Słowik nappierwszy dawną swoją pieśń zaczyna.  
Nuż potym, kiedy cała ozwie się drużyna;

Tyśiące

Tysiące pięknych głosów jeden głos składaia,  
Którym swoich miłości pochwały śpiewaia.  
Zadnego tu zapewne drapieżnego ptaka  
Nie masz, kiedy drobaczku tego liczba taka;  
I żaden tu zwierz dziki na nie się nie strada,  
Ani nielitościwy psasznik sieć zakłada.  
Owca chodzi samopas, nic ją nie zatrzyma:  
Znać tu ani pasterczów, ani wilków nima.  
Ale zład się ta wonność niezwyčajna wzięła?  
I całe to wesołe powietrze objęła?  
Małe w pięknych równinach lasy się zielenia:  
Tam się żywym balsamem tłuste drzewa pienia,  
Tam gałęzie owoców różnych pełne wiszą,  
Tam lekkim tknięte wiatrem kwiaty się kołyszą.  
Wszystkie razem, cudowną tę wonność skła-  
daia:

Może tu przy tej woni i o smak nie dbaia,  
Otóż z innego miejsca znowu jakieś głosy  
Wesoło śpiewaających! chwała swoje ciosy,  
Przypadkom swym dziękuią, że z ich ręki maia.  
To szczęście, co bez trwogi nim się nasycia.  
Zład inąd iefzcze słyhać instrumentów brzmie-  
nie:

Sworność ich nad same jest większa zadziwienie!

I w tej



I w tej zgodzie pieczętowanej gwałtem ciągną  
dużę,  
Ze ledwie nadewszystko nie do nich gnąć mu-  
fzę.

Ale co dziwniejszego! tu nie widać słońca,  
Światłość się tylko jakaś od końca do końca  
Przeciągnęła, we wszystkie strony patrzy  
strony.

Nigdzie wzrok nie jest ostrym promieniem zra-  
żony.

Toć już tu naprzykrzonych upałów nie będzie!  
Już pastierz udychany w chłodzie nie zaśiedzie  
Przed spieką; nie będzie tu nigdy nocy ciemney,  
Ani zwyczajney ziemi pory nieprzyjemney.  
Zima ztąd w nasze kraie uciekła; i floty  
Razem z rolą nas moczają. Tu to ow wiek złoty!  
Tu czystego powietrza chmura nie zaśłoni,  
Ni się trwożąca ludzi błyskawica goni;  
Ani piorun lękliwą ptaszynę nie płoszy,  
Ani grad piękne kwiatow ogrody puśtofzy.  
Nie bywa tu posuchy, nie bywa powodzi.  
Ziemia się swą tłustością bez słońca obchodzi,  
Jak tylko na swe pory rok tu się nie dzieli,  
Toć już wiecznie niewinna lilia się bieli,

Wie-

Wiecznie róża czerwieni, z kwiatem frukt doy-  
żrzały,

Na iedney się gałęzi razem pomieszały.

Nie masz uschłego drzewa, ni znaku boleści:

Ze wszystkim tu łaskawsza natura się pieści.

Zadna drogi w te lasy nie znała siekiera:

I zdaie się, iakoby nic tu nie umiera.

Któż to jest nad tym brzegiem? w iakimże to  
kraiu?

Nie podobna: to święty, a ja jestem w raju.



## O NIESZCZĘŚCIACH

*Oczyzny i Rzezi Humanſkiej.*

Pieszczone dzieci, gdy rozniewały  
Oycę, i gdzie się podzieją,  
Stoiąc pod drzwiami płaczą dzień cały:  
Kołać we drzwi nie śmieją!

A lud zuchwały, przechodząc blisko,  
Słowem zelżywym ie szpeci!  
Czyniąc z nich sobie urągowisko,  
Ze ocięć wygnał swe dzieci.

Ale ty, Boże! który z daleka  
Patrzysz na serca wygnanych;  
Ułtowany nędzą człowieka;  
Pocieszysz znowu strófkanych.

Już do twych uszu przyiść miały głosy  
Krwi, co lud przelał zażarty;  
I wiara twoja poniosła ciosy,  
I kościół z ozdób odarty.

Wspo-

Wspomniy przynajmniej na twe ołtarze,  
Przy których my ślać przyrzekli,  
Nie karz! wszak zdawna nikt tych nie karze,  
Co do ołtarza uciekli.

Złoż nas twą bronią, której zamachem  
Rozśdzasz między wojskami;  
A nieprzyjaciół pierzechnie ze strachem,  
Widząc; żeś ieszcze ty z nami.



## M R O W - K A.

**P**O co jedziesz, Xymenie, w oddalone kraie  
Szukać umiejętności?... Naturać się staie  
Na każdym miejscu szkołą, to drzewo, ta woda,  
Ta łąka pełna kwiatów, to praćtwo, ta trzoda.  
Byłeś tylko chciał myśleć, na całe cię życie  
Zarrudni pożytecznie. Naturo! ty skrycie  
Wszystko robisz przed nami; żeby obdarzony  
Człowiek myślą, w badaniu dróg twych zato-  
piony,

Tęsknotę tego życia rozrywał. Xymenie!  
Podź ze mną na to pole, tam z gór rzeka żenie;  
Tam się wesołe trzody paszą, pasterz śpiwa,  
I deszczem opatrzona mgli się góra siwa.  
Siądźmy na tej murawie... Otóż mrowek stało!  
Jak liczną za żywnością wychodzą gromadą!  
Jak z pilnością szukaia! potrzeba mistrzyni,  
I sprawność im i przemysł w ich staraniach czyni.  
Ale patrzno: z daleka idzie coś obcego,  
Ciągnać za sobą muchy pul tusza przedniego.  
Od tutejszych odmienna barwą swoją szarą,  
I mniey-

Zmniejsza! Pódźmyż za nią okiem... Z iakąż  
wiarą

Prawa tu gościnności w tym kraiu chowaią!  
Tyfiąc ich w koło biegną; a nic nie rykaią  
Gościa przechodzącego: ani się kto spyra,  
Przešla kray cały mrowek czerwonych bez myta.  
Nie spuszczaemy iey z oczu... Jakże biedna  
- krwawo

Pracuje, iuż podobno tu między tą trawą  
Jey się zdobycz zostanie, iuż spada na ście,  
Tyle drogi przebywszy, i niewygod tyle!  
Między dwoma trawkami zdobycz iey splątana,  
Próżno ciągnąc swoy ciężar, prawie na kolana  
Upada; próżno często spoczywa, i sily  
I sposobow probuje, bo ią opuścily.  
Otóż upracowana, odpocząwszy mało,  
W tył zachodzi; i spodem tę machinę całą  
Podsunąwszy się dźwignie, tak w wierchołkach  
trawa

Uchyła się, i ciężar za przeprawą stawia.  
Ziemia dopiero deszczem rześistym się zlała,  
I ieszcze się miejscami woda nie schowała:  
O iak przez wiele biedna rzek się przeprawiła;  
A wżędzie przemyłt więcęcy ważył, niżli siła.

Już

Już teraz pewnie zginie, albo łup swoy zgubi.  
Kray tu czarnych olbrzymów, i ci zhojce grubi  
Otoczyli ią wkoło: zdobyecz odebrali;  
Przecież część tylko wzięwszy, resztę iey oddali.  
Ależ potym wzdłuż idąc tey krainy caley,  
Już iey się rozbóynicze rotę umykały.  
Może i pismo iakie przeprawy iey dano,  
Ze ią z taką bacznością wszędy przepuszczano.  
Otóż tu szare mrowki, pewna iey oziedzina!  
Te, co biegną naypierwey, może to rodzina  
Z drogi swoią siostrzyczkę przodem wysła uitać,  
I o iey powodzeniach naypierwey się spytać.  
Gdybyś im, mrowko! o twych przygodach  
wspomniała,

Całaby szara twōia rodzina płakała,  
Ale czas był radości. Sypią się tłumami,  
I tak ią wprowadzają w bramy tryumfami.  
Xymenie! wszakżeśmy to mieysce naznaczyli,  
Gdzieśmy ią naypierwszy raz idącą zoczyli.  
Ktoby się był spodziewał? na kroków trzy-  
dzieści

Po przykrey drodze ušla; a to, co bez wieści  
Naszey pierwey uysć mogła! patrz na rzecz  
dziwnieyszą:

Ktoby



Żeby z nas drogę dla niey wynalaził prościey-  
szą?

Kto prowadził tak równo, że nic nie zbłądziła?  
Od kogo się czterech płę światu nauczyła?  
Jeżli ma pamięć! pamięć jest nad zadziwienie,  
Zeby tak szczupłe w sobie i błache stworzenie  
Dar ten nieba mieć mogło, ale cóż kosztuie  
Boga, czy ią aniołom, czy mrówkom daruie?  
A ieżli węch, albo wzrok mają tey ostrości,  
Znowu cud, że ie w takiej zamknięto szczu-  
płości.

O iakże ta rzecz mała wiele nam probuie!  
Bóg się większym w najmniejszey rzeczy poka-  
zuie.

Ale otworzmy nożem gmachy ich podziemne.  
Tam ich rady, tam ich rząd, tam ich miasto  
ciemne

Obaczemy... Oto iuż weyście się skończyło;  
I iakiś rynek: tyśiąc drzwi go otoczyło!  
Z których się obywatel w śród miasta groma-  
dzi,

I około dostaney świeżo pastwy radzi.

Już ią na kilkanaście części podzielili:

Jedni wzięli, a drudzy ieszcze się przykrzyli

TOM L

E

O swój

Ó swóy udział. W tym blaskiem noża przestra-  
szone,

Odbiegłszy pay, każda w swą schroniła się stronę  
Daruycie nam niewinnę mieszkańce tej ziemi!  
Nas tu wniosła ciekawość; ani za waszemi  
Dobytkami idziemy, nie nieśmiam was woyny;  
Ani dla tego chcemy trząść dom wasz spokojny,  
Zeby wam wolność, albo miły płód odbierać;  
Od tego noża żadna nie będzie umierać,  
I żadna się krwi kropla waszey nie przeleje.  
Nas tu wniosła ciekawość, pewnie to nadzieie  
Nieurodzajow w czasie, i ciężka potrzeba  
Ten publiczny magazyn założyła chleba.  
W śród ziemi obywatel, gdy zbierać nie może,  
Zrząd pomiernym podziałem wydać mu zboże.  
I tak, o jednym chlebie letniej czeka pory,  
W której pełne mięsiva różnego komory  
Zboże mu ochraniają, tu całe much tufze,  
Tu jakieś nogi, a tu robaczki bez dusze,  
Leżą wiatkach pulicznych, złota tu nieznają;  
Zadne monety biegu swojego nie mają.  
Jednym dać za prace, a drugim na dług:  
Naypiękniejszy kawałek kupisz za zasługi.  
Sprawiedliwość tę rządzi szczęśliwą krajem,  
Komu

Wzomtu się mniey dostało; zna, że to za winę.  
Nie zazdrości sąsiadom: owszem kontent z tego,  
Ze się pomiędzy sobą znają, kto wart czego.  
Nie przeto ciężkiey praży zaniecha tam ktura:  
Zdaie się, fama na ich zapędy natura  
Wzdrygać; kiedy z naydalszych mieysc wleką  
ciężary

I większe, i ważnieysze od nich, że do wiary  
Ledwie będzie podobna, aby w ich szczupłości  
Tak siła przemysłu służył krajowey miłości.  
Pódźmyż teraz po domach. Jakie ochędostwo!  
Jaka zgoda! a iakie familii mnostwo!  
Sprzętow żadnych nie widać; dom się ich nie  
dzieli:

Z kragła go, ale czysto w twardey ziemi różnili.  
Wszystko tu ma znak iakiś niewinney prośoty,  
Szczęśliwego ubóstwa, i ciężkiey roboty.  
Prawo ma być surowe, aby nic dla siebie  
W swym domu nie mieć; ale o publicznym chlebie  
Żyć wszystkim, chcąc zapobiedz tym wyrokiem  
złotym

Przemożności mieszkańca, i niezgodzie potym.  
Ale cóż to za weyście większe od zwyczajnych?  
Może tam będzie izba rad narodu tajnych;

E a

Może

Może tam niedołęgów, chorych utrzymują, —  
Których wdzięczna powszechność żywi, choć  
próżnią.

Nie zgadliśmy, Xymenit! patrzno, iak tu wiele  
Mrówcząt młodych snuie się, ieszcze im na ciele  
Sukienkę znać niewinną; i wzrost ich szczer-  
pleyszy,

I nogi ieszcze słabe, i barwy iasnieyszyi.  
Kilka starych w pośrzedku iakże im nauki  
Zapewne dawać muszą; uż oni tam sztuki  
Tańcować, śpiewać, albo nabycia czczey  
chwały,

Nie uczą: ni iakiby planety bieg miały;  
Czy się ziemia obraca, czyli stoi słońce.  
Insze ich do tey szkoły sprowadziły końce:  
Być zdatnym w powszechności, niewygod cier-  
pliwym,

Nie chciwym dobra swego, w pracy nie leniwym.  
Żyć pomiernie, i bronić kraiovey całości,  
Prócz powszechney, nie znaiąc inszey łączęśli-  
wości,

Któż wie? może to mrowki Likurgowi dały  
Te prawa, które spartę tak długo trzymały:  
Tam takze z publicznego stołu wszyscy żyli;

Tam

Tam krwią i życiem swej całości bronili.  
Tam wzięta od rodziców młodzież się ćwiczyła  
W powszechney szkole, matką oyczyzna iey  
była.

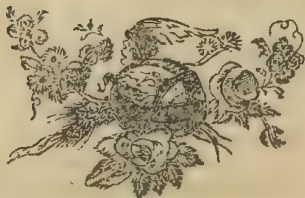
Nic dla siebie nie robiąc, zawsze pracowano:  
Ani obywatela przemożnego znano.  
Skarbow żadnych nikt nie miał; i za spadek  
cały,

Cnotę po swych rodzicach dzieci posiadały.  
Wspomniemyż sobie teraz Spartańczyków działa,  
Jak się przed ich nogami Persya schyliła.  
Rowno z poziomym chwałem deptali korony,  
Tylu tronów panowie, nie dbając o trony.  
Skutek to był szczęśliwej Sparty pomierności,  
Pracowitego życia, i kraju miłości.  
Xymenie! coż masz dzisiaj równego w Europie?  
Kto tam, iak wódz Spartański, swoją ziemię  
kopie?

I razem pysznych posłów Azyi przyjmuje;  
Pokoy czyni, albo im wojnę obiecuje?  
Bogaty zbytek nasze opanował kraje,  
Ztąd się miękkość podniosła, odwaga ustaie.  
Miłość dobra własnego wszędzie rzuca siatki:  
Co zechce, niech się dzieie, byle mieć dostaki.

---

Na còż się po Europie trudzić nadaremno ?  
Lepiej uczmy się w domu, patrz na mrowki  
ze mną.



TRWO-

## T R W O G A

*Człowieka bliskiego śmierci.*

J Uż się dach zepsuł, i przez mdłe ściany.  
Lada się wichur przekradnie.  
Słusznie gospodarz chodzę stroskany,  
Widząc, że mi dom upadnie.

Jeszcze na wstręcie wiatrow upartych,  
Jak na nieszczęście stawiony,  
Sto do upadku ma bram otwartych,  
A żadney zniszka zastony.

Cóż to za szelest? kto mi ma szkodzić?  
Trzęsienie z jakiej przyczyny?  
Któż będzie gwałtem w drzwi moje wchodzić?  
Idą posłowie ruiny.

Ach widzę! iako już wszystko ginie,  
Co miałem, i co nie miałem.  
Jedną przynajmniej ratuycie skrzynię,  
W której nadzieję schowałem!



---

---

POWIETRZE i WOYNA. -

---

Czyż to ten trup po polach leży?  
I co za wrzawa po lesie?  
Ztąd do mnie płacząc kobieta bieży,  
Ztąd jakieś ięki wiatr niesie.

Gdzież to ja jestem? o kraju smutny?  
Siedliśko ludu nędznego!  
Tu ma stolicę los ten okrutny,  
Który dosięga każdego.

Coż to ci, matko? ta od żałości  
Słowa przemówić nie zdoła;  
Rwie włosy, tłucze wnętrzności,  
I ledwie z czasem zawoła:

Ach nieprzyjaciół pobił mi dziatki!  
Trzech synów zboyce pożarli.  
Teraz pociechy mojej ostaki,  
Czwarte mi z rąku wydarli.

Nie

Nieszczęsna córko! zginęłaś pewnie,  
Z tego mi łona ią wzięli.  
Ja na to tylko płaczę tak rzęwnie,  
Ze matki zabić ni<sup>u</sup> chcieli.

Spojrzę na pole trupem uflane:  
Tym jeszcze rany nieskrzepły.  
Tu leżą w sztuki ciała zrabane,  
Tu płynię potok krwi ciepły.

Wszystkich do naga prawie wyzuie  
Okrutna chciwość zdobyczy;  
Prak się na pastwę dziki zlatuie,  
I same rany kaliczy.

W przyległym lesie słyszę ięczenie,  
Króre mi duszę przezymuie.  
I tam mnie moja ciekawość żenie,  
Gdzie serce jeszcze coś czuie.

Ledwiem się trochę przymknął do lasu,  
Wołają na mnie: tyż z nami?  
Podź okrutnego dokonać czasu,  
Zapowietrzeni tu sami.

E 5

Boże!

---

Boże! te gniewu twoiego strzały,  
Są nayostrzejsze na ludzi:  
Kray się w pułstynie zamienił cały.  
Ten cię płacz refazy niech wzbudzi.

A jeśli nigdy nikt nie odwróci  
W karze niechybney twej miary;  
Weź mię z infzem: to gniew twój skróci,  
Należę do tej ofiary!



PRZE-

---

---

PRZECIWKO DEISTOM.

---

Niech się, iako chce, swym pozorem zdobi  
Czarne Deistwo, wszędzie go poznają:  
A Bóg iak żyje, i żyjąc coś robi,  
Tak końca iego działania nie mają.

Na górach siano, i zwierzętom zioła  
On wyprowadza; on rzeczami rządzi.  
Bez niego nawet ruszyć się nie zdoła,  
I wśród pewności sam człowiek poblądzi.

Nie mógł zostawić naturze tej siły,  
Zeby już wsparcia żadnego nie chciała;  
Boby rzec można, że te czasy były,  
W których o pomoc najwyższą nie dbała.

Król poddanemu tyle dać nie może,  
Aby już nie dbał o łaskawość pana;  
A tybyś tyle naturze dał, Boże,  
Zeby nie znała tego, że poddana?

---

Bez woli jego na ziemię nie padnie  
Mizerny wróbel; i na głowach włosy  
On porachował; on ieden tak snadnie  
Wyrabia w swoich formach polne kłosy.

Nie masz takiego państwa w całej ziemi,  
Ktoreby dobry rząd utrzymać chciało;  
Przecież gardziło sobą rządzącemi,  
I na iedynym losie polegało.

A Bóg by wszystko powierzył losowi,  
Losowi, który tak łatwo pobłądzi.  
Poszłoby zatym, żeby był (któż powi?)  
Taki rząd w świecie, iaki los, co rządzi.

Nie płynie morzem okręt bez żeglarza,  
I bez rolnika rola nie zrodziła;  
Dom pustoszeje, gdy bez gospodarza,  
A światby losu fałszywość rządziła?

Tajemną ścieżką w pośrodku nas chodzi,  
I rozporządza wszystkie ludziora lata.  
Tych głębiej martwi, owym przykrość srodzi:  
Karze i głaszczce Bóg gospodarz świata.

Co się w ciemnościach niedoszłej iaskini  
Czołga, i błąka; co wśród ziemi porze,  
I co w powietrzney zamknęło się skrzyni,  
I co w bezdennym łańcie żywi morze.

Wszystko to ręka nie widoma wodzi:  
Na wszystko patrzy nie zmrużone oko.  
A gdy w przepaściach Oceanu brodzi;  
Wraz na powietrzu znaydziesz go wyśoko.

A leśli tak jest w porządku natury,  
Ze sami sobą władać nie możemy;  
W nadprzyrodzonym porządku, a krury  
Poymie to rozum, że sami chodzimy?

Kto może własną siłą doysć do słońca?  
Kto z planetami na ich kręgu siedzie:  
Kto firmamentu, od końca do końca,  
Nie przemierzoną rozległość przebędzie?

Nie może słaba potrafić w to siła.  
Nawet mówimy, że jest nie podobna,  
Ażeby kiedy sama się wzmocniła;  
Tak w porównaniu ciał niebieskich drobna.

A iakże człowiek przyrodzoną siłą  
Nad swoją niskość tak się podnieść zdoła;  
Zeby tam stanął, gdzie zgodą tak miłą  
Wieczny rzemieślnik nłkręca te koła?

Jak przestronności firmamentu panem  
I niebios będzie? iak sobie poradzi;  
Jeśli, nad jego zlitowana stanem,  
Naywyższa siła tam go nie wysadzi?

Idź drogą twoią, iak idą mężowie,  
Za blaskiem iakim, co ci się płomieni;  
Bez tego światła, co się łaską zowie,  
Nie wybląkasz się z pośród swoich cieni.

Bo nie tak ważna zasługa, choć iaka,  
By nieskończonych nadgroń wartą była;  
Sama to tylko łaska będzie taka,  
Co z nią złączona, tak ją podrożyła.

Wszystkie twe kroki, gdzie idzie o cnotę,  
Wszystkie dla nieba czynione skłonicnia  
Z Boga są, on jest, co czyni ochotę,  
I co dopełnia roboty stworzenia.

Przez



Przez nieskończone sposoby cię wzywa,  
Codziennie u drzewi serca twego czuie;  
Miejsza się wszędzie opatrność troskliwa.  
A iakże powiesz, że tąd Bóg próżnuie?



## NA PIORUN

*Blisko uderzający.*

**Z** Jakim się gwałtem ta chmura tłoczy!  
Ogień ukryty nią warzy.  
Piorun, co tylko że nie wyskoczy,  
Częstym się grzmotem koiarzy.

Oto już wypadł, ach! gdzież zawita?  
Widzę do mego sąsiada.  
Wśród swoich modeli biedna kobita  
Jego postrzałem upada.

Przed tym pociskiem chcąc się kto schronić,  
Próżno drzwi, okna, zamyka.  
Pewnie rozumie, że ciężko zgonić  
Wielkiemu Bogu grzesznika?

Boże! który znasz mych złości miarę,  
Nagrzęszyłem się nie mało:  
Możę mię chowasz na większą karę.  
Niechbym był zginął tą strzałą!

TE-

---

---

TĘSKNOŚĆ DO KRAIU.

---

Kiedy mną tęskność nudziła,  
Szedłem nad brzegi Dunaju.  
Odludność mię tam pędziła,  
I chęć wzdychania do kraiu.

Cichości! siostró tęsknoty,  
Ja nie wiem, czy ty mię bawisz?  
To wiem, że serce mi krwawisz:  
Ja przecie lubię twe groty.

Łzy moje z iego wodami  
Mieszając, w dalekie kraie  
Wysyłałem ie posłami  
Aż tam, gdzie mu bieg ustaie.

Łzy moje! płyncie, mowilem:  
Kiedy w Euxynie staniecie,  
Tam łzy mych braci znajdziecie,  
I krew ich zmieszana z item,

O wy!

---

O wy! sprawiedliwe świadki  
Tey rany, co mię tak boli;  
Powiedzcie, iak jest dzień rzadki,  
Zebym nie płakał ich doli!

Wy, w ciszy morza głębizny,  
Poznacie tam, iak jest mało,  
Którymby się płakać chciało,  
Upadającej oczyzny.

Na was napadłszy płośliwa  
Ryba, gdy się już złączycie;  
Lub się w koło zatrzymywa,  
Lub skosztowawszy, da życie.

I niewiadomi żeglarze,  
Płynąc nad waszym siedliskiem  
Nagłym iakimś łez wytryskiem,  
Zbogacą wasze ołtarze.

Ty, króla na twoiej szali  
Ważysz bezprawność kraiową,  
Nie widzisz, żeśmy ułali,  
Pod twoją ręką surową!

Narod

Narod moy postać swą traci,  
Miała poszły na pułtynie.  
Nie widzę w ich rezwalinie  
Ledwie część iakąs mych braci.

Dusze Szlachetne! wy, ktore  
Dając oyczyźnie krew swoią,  
Jużście przeszły tę chmurę,  
Wśród kłórey burzy ci stoią.

Jeśli tam macie łzy wolne,  
Płaczcież, prosząc o ulżenie.  
Tu, widzę, nasze westchnienie,  
Ani łzy nasze niezdolne.



## C A L A S.

**R**az zamyślony: jakie są obroty  
Czasu, i jak go dotąd przepędzałem?  
Stałem nagle przed jakimiś wrory,  
Które nieśmiałą ręką otwierałem.

Na pola potym niezmierzone okiem  
Wyszedłem, i w nich ścieżki uzierałem;  
Lecz między ziemią, a czystym obłokiem,  
Nic, prócz samego błędu nie widziałem.

Tak chodząc długo bez śladu i drogi,  
Na widowisko straszne razem przydę.  
Mąż duży wzrostem, a spoyrzeniem srogim,  
Goni człowieka, rzucając nań dzidę.

Już wpół osłabiał młodzian nieszczęśliwy,  
Przecież ucieka, co mu siły staie;  
I choć się z swoiey odstrzela cięciwy,  
Tylkó odbiera rany, nie oddaie.

Sporą

Słaba już kupę rowney nim młodzieży  
Sprzątnąwszy pierwey, i na tego godzi,  
Nie syty łupem, co mu u nóg leży,  
Tym okrutniejszy, iż ciężey zaszkodzi.

Gdy z tego miejsca przestraszony zbiegam,  
Chcąc się uchronić od niebezpieczeństwa;  
Aliści inży plac śmierci postrzegam,  
Gdzie nowe ślady widzę okrucieństwa.

Całe uślane trupem pole było,  
Tak, że się iednym gmachem być zdawało;  
I gdzie naywięcey ciał zbotwiałych gniło,  
Tam kilkadziesiąt olbrzymow leżało.

Przystąpię do nich: ci iakoby z matki  
Jedney zrodzeni, podobieństwa takie.  
Przy wszystkich bronie, ich dzielności świadki,  
Twarz, stan, i wzrosty u wszystkich iednakie.

To tylko iedną różnicę czyniło,  
Ze nie wraz wszyscy mieli być pobici:  
Bo iednym twarze dobrze poznać było,  
Drudzy dawności popiołem zakryci.

Smutną



Smutną w miejscu tym ziemia nosiła,  
Trawy z korzenia swego wyniszczone;  
Powietrze całe mgłą gruba zakryła,  
I słońce nigdy nie patrzy w tę stronę.

Zewsząd okropność napelniała oczy,  
A zimna bojaźń już w sercu stała.  
Nie dbam, choć noga same trupy tłoczy,  
Byle z postrachu napyrzedzey umknęła.

Góra się iakaś z wolna zaczynała,  
Długa spadziłość wstęp na nią czyniła;  
Pod ręką mię moja trwoga zapędzała,  
I na niey szukać schronienia radziła.

Mgły iey przeszedłszy i wielkie przeszkody,  
Staną, gdzie sama pogoda mieszkała:  
Tu się z dniem wiecznym mile bawią chłody,  
I wonne kwiaty rokosz rozfypała.

Góra się przecie ieszcze wyżej wspięła,  
Ale już wierzchu doyrzeć można było.  
Gdym podniosł oczy, trwoga mię obięła,  
I coś mię skrycie wewnątrz pokorzyło

W tym

W tym uyrzę starca na tym wierzchołku,  
Słysz mu brodę wiatr wolny różniwał:  
Ogromny kamień trzymał na podółku,  
I złotem tkaną szatą połykiwał.

W czole wesołość, a oczu ruszenia  
Z błyskawicą się szybko porównały:  
Twarz swoje wdzięki z młodym wiekiem mienia,  
Chociaż włos głowę przyozdobił biały.

Blisko nóg jego, z środka żywey skały,  
Rzeka się wielka nagle dobywała:  
Powietrze całe szumy napełniały,  
Gdy się z wyniosłych gór na dół spuszczała.

Nie śmieją narzecz bojaźliwe nogi,  
Przez wzgląd tajemny ku starcowi temu;  
Ani się zdało deptać święte progi  
Zuchwałym wstępem człeku śmiertelnemu.

Ale się na bok pomału uchylę;  
I idąc myślę coby to znaczyło?  
Zapomnionemu przez iakowąś chwilę  
Znowu się nowe widzenie zdarzyło.

Rzeka

Rzeka ta, która z góry w szumie spadała,  
Cudney piękności pannę z sobą niośła;  
Płaczącym głosem na coś narzekała.  
W łodzi płynęła, lecz w łodzi bez wiosła.

Rzuca nią zakręt; bronić się czym ni ma.  
Próżno stroskania ręce załamuje,  
Próżno na brzegi pogląda oczyma,  
I łacie wodzie, z którą się passuje.

Tknęła mię litość nad niedolą cudzą,  
Niebespieczeństwa swego zapominam.  
Darmo mi przeyscie bystre wały trudzą;  
Wskoczywszy w wodę, do łodzi się wspinam.

Ze blisko brzegu na ten czas płynęła,  
Sądziłem, że ją poratować mogę:  
Dopadłem łodzi, lecz mię woda wzięła,  
I w też kazała razem płynąć drogę.

Splakana pani rękę mi podała,  
Ratowaniem mię zmordowana znacznie;  
I gdy mię do swej łodzi przesadzała,  
Głęboko westchnie, i tak mówić zacznie:

Nie

Y się; zginąć nie możesz w tej toni.  
Tylko jedną tą nawałnością goni;  
Ażebym ledwie, co życie zaczęła,  
Zaraz tonęła.

Ród mój szlachetny, z którego pochodzę,  
Od pierwszej świata kolebki wywodzę.  
Los mój niešťczęśny, i ta pora była,  
Gdym się rodziła.

Ten, coś go widział siedzącego w górze,  
On żadney ieszcze nie przepuścił córce.  
Wszystkie w tęż drogę, co i mnie, wyprawia:  
Życia nas zbawia!

Ociec mój Czas jest, któł ten wielki, który  
Po świecie całym pogląda z tej góry.  
Jego stolicą sławna ta kraina;  
A iam Godzina.

On na mnie patrzy, iak tą rzeką płynę:  
W momencie siostre rodzi, gdy ia ginę.  
Jedna po drugiej na śmierć następuje;  
A on wiekuie.

Tę, pod tą górą coś widział, gonirwe,  
Widziałeś młodego Roku z Wiekiem bitwę  
Próżno się broni młodziak nieszczęśliwy,  
Zginie iak żywy.

A trupy, które pole tam uśiały.  
Wszystko to lata, co poprzemiały.  
Olbrzymi wszyscy, równi iak pod miarę,  
Są wieki stare.

Ten kamień, który wielki ociec trzyma;  
Na tego, co się bił, czeka olbrzyma.  
Gdy pora jego do miary do płynie,  
Spuści i zginie.

Pocisk on nigdy ma nieuchybiony,  
Siąga przez długie olbrzyma zagony.  
Podobną śmiercią wszyscy pogubieni  
Jego rodzeni.

Takie są oycy naszego zabawy;  
Rodzić, i czynić zaboy dzieci krwawy.  
Ale, oprócz tego, bawi się innemi  
Dziełami swemi.

On po niezmiennych jego mieszkaniu  
Ścieżkach przechodząc, co dzień się nakłania  
W starość ostatnią, i co dzień młodnieje;  
Trwa, i niszczeje.

On w rzeczach przeszłych jest nieodwołany,  
W przytomnych bieg swój czyni niezrównany;  
A przyszłych łańcuch powiązał daleki,  
W potomne wieki.

Wiecznie wystarcza, choć się wiecznie trawi.  
Mia w momencie, i najdłużey bawi;  
Po ścieżkach swoich niezgoniony chodzi,  
Pomaga, szkodzi.

On na Fortunę wędzidło zakłada,  
Aby, gdy ludziom hardo odpowiada,  
Albo się całą ich żączy wylała,  
Czasem przestała.

On królów szczęściem, i królestwy władcę;  
Przydzie, a każde wstanie, lub upadnie.  
W nim ludzie tyle miast powystawiali,  
I on je wali.

On się nad ziemią wzdą swoją wznosi  
Obydwie nieba szanują go ośi:  
On rzeczy wszystkich, niebawiąc cię długo,  
Panem i sługą.

Ale iak ludzie czasu zażywsia!  
Kiedy jest, oni w ten czas go nie mają:  
Minął, nie wspomną; a zawsze się chwieją  
Marną nadzieją.

Na każdy moment mieć trzeba baczenie,  
Każdy z nich swoje piewa przeznaczenie:  
Jeden stracony rwie łańcuch całego  
Szczęścia przyszłego.

Z rzeczy tey, która już przeminęła się,  
Układay przyszłą; rob opatrzenie w czasie.  
I wiedz, że z czasem każdego człowieka  
Czas liczbę czeka.

W tym mię pchnie z łodzi, gdzie naybystrzey  
było;

Ale na brzegu złożyły mię wody.  
Czym to ia widział; czy mi się to śniło?  
Bo znalazłem się wśród moiej zagrody.

Siwy



Siw... z góry z myśli mi nie zginie,  
I... nieszczęsny córek tego smutnych.  
Nie będę tego powiadał Justynie:  
Nie lubi starych, a jeszcze okrutnych.



## LAMENT GOŁĘBICHY

Dawno na niego nieprzyjaciel godził!  
Na dzikie pola często go uwodził;  
Często go zagnał pod wysokie chimury.  
Zginął mój gołąb, gołąb żółtopiory!

Jam zaklinała: chroń się tej dębiny,  
Gdzie pełno frogiey iastrzębiey rodziny.  
A on podobno dla tego był śmiały,  
Ze go się nasze samce obawiały.

Gdybym to kiedy była przewidziała...  
Pewnie za niego umrzełbym wolą;  
Niżli dziś płakać w opuszczonym łanie,  
Ale przychodzi zły los niespodzianie.

Teraz pobieram pióra rozrzucone;  
I na tym miejscu, gdzie jeszcze zbroczone  
Piaśki, i ziele w krwi się jego myje.  
Z nich sobie gniazdo, i grób mój uwłię.

Tam

Tęsknotno ięcząc; może prafznik iaki  
Wiemie mi życie temi dąc szlaki:  
Albo też iastrzab mym głosem ściagniony,  
Dokona razem i męża i żony.

A ieśliby tak nie przyszło mi skączyć,  
Będę umiała żal z głodem połączyć;  
Póki śmierć, iedno moje pocieszenie,  
Smurku i dufzy ze mnie nie wyżenie.



---

S A D Y (\*) i F A T Y M

---

Sady z Fatymem przed słońca upałem,  
Do bliskiego się lasu uchronili.  
Tu, mówi Sady, kilka razy spałem,  
Tu mi rozmyślać bywało naymiliż.

Patrz, jak to czysty śródkiem potok płynie!  
Bespieczna ryba igra wierzchem wody;  
Naymniejszy kwiatek nad brzegiem nie zginie.  
Widać w niej drzewa, pasterzów, i trzody.

Ach! cóż to będzie? o mój ty Fatymie!  
Karuna widzę w zaciszy śpiącego.  
Zadrżyi wraz ze mną na to straszne imię:  
Nieprzyjaciół to narodu łudzkiego!

On w całym mieście przychylnego nima,  
Nikommu chleba swojego nie łamał.  
Co krzywd poczynił przed memi oczyma:  
Jak wiele razy zdradził, zabił, skłamał.

Boże!

(\*) *Filozof Percki.*

Boże! na tyłu złości poeznienie,  
Jak pokoynego iefzcze w snu staie?  
Mnieby się zdało, że śladkie uśnienie  
Samym Bóg tylko sprawiedliwym daie.

Oh! nie dla niego ten się las zieleni,  
Nie iest go godnym tyłu ludzi strata;  
Ni tey murawy, ni tey cichey cieni,  
Ani snu tego, a Fatym mu na to:

„ Często pozwala Bóg snu złośliwym,  
„ Aby czas folgi dał sprawiedliwym. „



## M A T K A

*Syna wyprowadza do obozu.*

JUŻ broń przededrżwi iasną wynosili;  
Nad nią nie było lepszej w okolicy.  
Jey to, dziadowie twoi doświadczyli!  
Broń, którą młody masz błysnąć Maurycy.

On ogniem wieku zagrzany i sławą,  
Chciałby nayprędzey poysć pięknemi ślady,  
Co stary ociec torował mu krwawo;  
I dzielne domu pomnożyć przykłady.

Ale strapiona matka go wstrzymuie;  
Czasem się jego uraża uporem,  
Czasem pozwala, i tak się mociue  
Między miłością, i między honorem,

Nie śmie i spojrzeć tam, gdzie już czeladka  
Z domownikami swemi się żegnała;  
I wytrzymawszy mówić do ostatka,  
Na reszcie syna tak napominała:

Kiedy

Kiebyś nie mógł być to żnie może,  
Ja w ręce twoje oddaę go, Boże,  
Jeżeli by się twej woli w spak stawił,  
Nie karz go zaraz; onby się poprawił.

A ty, mój synu, nadewszystkie rzeczy  
Na każdym mieyscu miej Boga na pieczy.  
Nie schronisz mu się, nie myśl o sposobie:  
Ja ci przyśięgam, że on jest przy tobie.

Ani za sławą idź zapamiętałe,  
Zebyś na życie twoje niedbał cale;  
Wspomniy, iak gorzko o tom cię prosiła  
Ja, co cię płaczę, i com cię rodziła.

Ty nie pamiętasz, boś ieszcze był mały,  
Co mię przypadki twoje kosztowały:  
Na tom ia w ten czas tyle łez wylała,  
Zebym pociechę z-ciebie dzisiaj miała.

Może dla sławy ty zechcesz być wszędzie,  
Gdzie was naybardziey ogień niszczyć będzie;  
Tylec to ludzi w iey zginęło siałce!  
Uyni-y: coś sławie, ażebyś dał matce.



Ale ja nie chcę, ażebyś wtydniwą  
Ucieczką mazał twarę oycę sędziwą.  
Ja tylko proszę, ażebyś w potrzebie  
Bacznie nacierał, i okrywał siebie.

Tys u mnie jeden, i tys jeszcze młody!  
Nie czyni mi, synu, tey największey szkody.  
Powracay, i zdeym ten ciężar z mey duszy;  
Bo twoy mi powtor ły z oczu osufzy.



NA DZIEŃ URODZIN  
MARYANNY Z MALINOWSKICH  
PONINSKIEY,  
*Woiewodziecowsy Poznański.*

dy.  
y;  
P Od białym ciałem dziewczyny,  
Cnota się dziś urodziła!  
Otwarta, skromna, bez winy,  
Jaka pierwszych wieków była.

Nieśmiertelność także miała  
Razem się w tym dniu narodzić;  
Ale, iak w raju została,  
Tak iey nie każą wychodzić.

Pani, bogdaybys nieśmiertelną była!  
Ziemiaby się pocieszyła;  
Ze gdy za złęmi ściga ukaranie,  
Cnota się zawsze zostanie.

NA  
Składając te moje wiersze,  
Na myśl mi też przychodziło:  
U oycy to dziecię pierzse  
Jak w domu witane było?

F 7

Przy-

Przybył przyjaciel z daleka;  
Matka się przed nim chwaliła:  
Dał nam Bóg ten świat człowieka.  
Maryam córkę powiła!

Gościu mój miły siadź bliżej koło mnie,  
Niech wszyscy przyjdą do mnie.  
Zeby tu radość i muzyka była:  
Maryam córkę powiła!

Takie w tym domu wesele  
Podczas narodzenia twego:  
Jak go nam przybyło wiele!  
W tym dniu obchodu rocznego?

Nadzieia już wzięła skutek,  
Jużeś przykładnie cnotliwa.  
W tobie pociechę ma sinutek,  
Z ciebie się nędza odziwa.

Przyjacielowiś, i radą i chwałą.  
Słowem, jesteś cnotą całą;  
Czegoż ci życzyć, gdyś już wszystko wzięła?  
Idź drogą, którąś zaczęła.

## NA IMIENINY

*Tęka.*

Gdyby się iako dobrać do tej skrzyni,  
Gdzie dla człowieka destyny schowane;  
Niech mię, iak kto chce, z moich krokow wini.  
Brałbym naypierwey zdrowiem cechowane.

Nabrałbym inszych, cò długiemi laty,  
I pomyślnością stateczną znaczone;  
Dopiero w takie wiązania bogaty  
Dałbym ci z niemi lata niesprzykrzone.

Ale na còż mi czernić duszę swoją  
Tym świetokradztwem? kiedyś ty swe cnoty  
Wystała pierwey? pewnie iuż tam stoią,  
I odbierają dla ciebie wiek złoty.

One przez ciemne tych wyrokow gmachy  
Śmiało idąc, noc tamtę oświecają,  
I niedostępne dla inszych postrachy  
Przy ich się nogach łagodnie skłaniają.

Przed

Przed niemi sama okropność zadrżała,  
Im się żelazne wrota tworzyły;  
Im dane klucze, im cała moc cała,  
Zeby cię w życiu szczęśliwą zrobiły.

Pani! gdy jeszcze poyda ci posłowie  
Od ciebie; wspomniy na moje stękanie.  
Niechay tam iako wyrobią mi zdrowie,  
Bo mnie na takie poselstwo nie łtanie.



## WEZYR GIAFAR

Do Haruna (a) Al-Raszid.

S Trumień nayszyflszy, co w Firuzbad (b)  
płynie,

Który pasterza w upaśu godzinie  
Siły otrzeźnia: róża rozkwitniona,  
Jeszcze człowieczą ręką nie dotknięta:

Ju-

(a) Harun Al-Raszid z domu Abassidów, wielki Kalifa Muzulmanow, około roku od narodzenia Chrystusa 800 panniący, Giasara naysprawiedliwszego czasów swoich do rządu państwa, i na urząd pierwszego Wezyra podniósł; i jeszcze tak się w nim rozkochał, że wszystkie zabawy bez Giasara przykazyły mu się. Ale że razem Kalifa, i do siostry swojej Abassy, która go rozumem bawić umiała, był przywiązany; nie chcąc rozrywek swoich na dwoje dzielić, Giasara tytularnym mężem Abassy robi, (co dano prawo Wezyrowi temu wchożenia do pokoiów Abassy) ale z naysurowszym zakazem nawiszenia czystości iey.

(b) Firuzbat, jest położenie miejsca naysiękniejsze na zachodnim końcu Persyi. Wschodnie narody nazywają to miejsce raiem ziemskim,

Jutrzenka, która biała świeci z ranat  
Oto Abassy piękność opisaną!

Wielki Kalifo! królu w całej ziemi  
Sprawiedliwym się zwiesz (c) między wiernymi, (d)

Od rzeki Indu, (e) aż gdzie ziemia stała  
Silnym się morzom zachodnim poddała;  
W krajach tych wszystkich panowania twego,  
Smutnego ciężko znaleźć poddanego.

Jeden Giasar, stróż twojej pieczęci,  
Tłumacz twych myśli, wykonywacz chęci:  
Jeden Giasar troszcze się i nudzi,  
W pośrodku tylu najszcześniejszych ludzi.

Nie chcąc rozrywek twych dzielić na dwoje,  
Otworzyłeś mi Abassy pokoje,  
Zebym z nią razem tęskność twoją bawił;  
A cześć mi męża nazwisko zostawił.

Okru-

(c) Słowo *al-Rafid* z Arabskiego znaczy, *sprawiedliwy*. Przydano to do tytułów Kalify Haruna, dla jego wielkiej sprawiedliwości.

(d) Słowo *Muzulman*, znaczy: *wierny*.

(e) *Harun Kalifa*, od rzeki Indus, aż do Oceanu atlantyckiego posiadał krainę na mil blisko 1500. Szerokości zaś na mil blisko 500.



Okrutny to dar, dzika łaska była,  
Co mię w Abassy harem (f) wprowadziła.  
Bo cóż mi potym nazywa ią żoną,  
Gdy na nią tylko patrzeć pozwolno?

Duże iey oczy, włosy, i brew ciemna,  
Czerstwy rumieniec, i białosc przyjemna,  
Piękny skład twarzy coś wielkiego znaczył;  
Taką Abassę pierwszy raz zobaczył.  
Gdy potym z wstydu nieco opłoneła,  
Bardziej mię ieszcze rozumem uięła.  
Rozumem, którym slynie w powszechności,  
Jako ty slyniesz ze sprawiedliwości.  
Ostatni to był moment mey swobody;  
Bo potym miłość z rozpaczą w zawody,  
Albo na życie ręce uzbraiała,  
Albo ie jakąś nadzieią trzymała.

Wielki proroku! co mię w tey godzinie  
Slyszysz; i święta którego krew płynie  
W żylach Abassy: (g) czemuś nie przeskodził,

Gdym

(f) Harem, jest to skryte mieszkanie kobiet Mu-  
sulmańskich, gdzie pod gardłem nikomu z męszczyzn  
wchodzić nie wolno

(g) Abbas (z którego domu był Harun) był stry-  
iecznym Machometa fałszywego proroka, ztykaią się

Gdym miał pokochać? albo gdym się rodził?  
 Albo... Abassa na to się rodziła!...  
 Karz mię, Harunie, bo już mówię siła.  
 Ona w podróży zawsze za mną goni,  
 Przed nią się w lasach Gaifar nie schroni,  
 Płynie po rzecze, ze mną na koń wsiada;  
 Ze mną ię, pię, ze mną cień ię gada.  
 Nawet kiedy to w moim smutku piszę,  
 Zdaie się, że ią cieszącą mię słyszę.

W Mekki kościele (h) od początku ziemi,  
 Gdzie Bóg przebywa z synami ludzkimi.

Dale-

te dwie linie pod Haszem dziadem Mahometa i Abbasfa. Dla tego Abassydowie nazywali się Haszemitami, dom Abassydów panował w Azji, pod imieniem Kalifów (czyli rządzców duchownych, razem i świeckich Muzulmańskich) przez lat 520. Ze wszystkich wyniszczony przez Hulagu Hana Tatarów czyli Mongołów roku 1258, kiedy i ostatni domu tego Kalifa Mołazem zginął.

(h) Miał z tradycyi Mahometanie, że na tym miejscu, gdzie jest teraz kościół w Mekce, Adam wystawił był przybytek, gdzie się modlił Bogu z potomstwem swoim. Abraam po potopie, na ymże miejscu ofiarował Izaaka; zatrzymał w tej ofierze od anioła, wystawił tamże kościół Bogu; który tenże sam do tych czas (jak powiadają) utrzymuje się. To pe-

Daleki pielgrzym łzami próg (i) obmywa,  
 A mnie Abassa modlitwę przerywa.  
 Bóg na mój ucisk spojrzal niezmierzony;  
 I darował mi, bom myślał do żony.  
 Darował mi to, bom myślał nie chcący,  
 Między nim i nią działąc płacz gorący.

Woda ta, którą Agar (k) nasza piła,  
 Mówią, że tylu chorych uzdrowiła:  
 Prożne gadania... bo ią próżno piłem...  
 Znać, zem był nie wart łaski... i bluźniętem.

O ty!

wina, że ten kościół zawsze będzie bardzo dawnym,  
 gdyż pamiętnika w historyach nie masz o innych po-  
 czątkach jego, ma wszakże rok 24, wszcz. 23, wcz. 27.

(i) Próg w tym kościele jest bardzo podniesiony.  
 Pielgrzymi zwyczajnie przy tym progu modlą się: a  
 Mahometanie, to między cudami tegoż kościoła ra-  
 chnia; że każdy tam przychodzący płakać musi.

(k) Agar z Izmaelem głowę Izmaelitów, czyli  
 Arabów będąc zostawiona od Abrahama na puszczy, w  
 pragnieniu przez anioła miała sobie pokazaną wodę.  
 Tradycje Muzułmańskie twierdzą, że taż sama jest  
 studnia przy Mekce, teraz nazwana Zemzem. Zna-  
 dycy podanych przez Omara jest, iakoby często ma-  
 wiął Mahomet: „kto z tej studni pije, od chorób cza-  
 ”

O ty! co z twego spokojny kochania,  
 Trzymasz się Boga i bez narzekania  
 Na los twój żyjesz nieżnośnych nie mają,  
 Nigdy przypadków ci, co się kochają.  
 Kalifo! skróć mi ten wiek mój nie miły;  
 Zabić się nie mam ni prawa, ni siły.  
 Twoje zakazy przezemnie zgwałcone:  
 Kocham Abasę tak, jak mąż swą żonę.

Miłość, kiedy się trafi niešťczęśliwa,  
 Stanu ludzkiego poniżeniem bywa.  
 Jak wiele razy, na wzgardę natury.  
 Być przemienionym chciałem w ubiór ktury,  
 Co się białego iey dotyka ciała,  
 I co naybliższe koło siebie miała!  
 Albo przepaskę, którą iey stan dzieli,  
 A czasem w płutno iakie iey pościeli;  
 W chustę tę, którą w łaźni się ociera,  
 Takeś twoiego upodlił Wezyra.

Sen, to pomocne zapomnienia ziele,  
 Ta jedna folga tych, co cierpią wiele,  
 On mię oditąpił, ona go zabrała,

Jak-

„ Za uzdrowionym będzie, kto zaś obficie pije, i  
 „ grzechy mu iestcznie będą odpuszczone. „

Jakby nie dosyć całego dnia miała.  
 Zawsze się do mnie wciśnij, i żartuie  
 Z ogromney warty, co przy mych drzwiach  
 czuie.

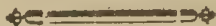
Wczora już ranny szmer się po Bagdadzie (1)  
 Rozchodził, i czas był zasiadać w radzie:  
 Sen inie ogarnął. Abassę uyrzałem  
 W stanie, w jakim ją nigdy nie widziałem.  
 Jedną się ręką za włosy targała,  
 A w drugiej grubą koszulę trzymała;  
 Potym mi rzecze, pełna łez i łkania:  
 Oto są skutki twego przywiązania!

Harunie! ieżli sen swą prawdę miewa,  
 Abassa niech się ubośwa spodziewa;  
 Które odemnie zacząćby się miało,  
 A na nią prawem mych nieszczęść spadało.  
 Tak jest, Kalifo! odbierz pieczęć twoię,  
 I wielkie skarby, o które nie stoię.  
 Pozwól, niech ipotym przed Abassą klęczę:  
 Może ją nędzą moją nie odstręczę.

Mo-

(1) Bagdad miasto w dawniej Haldei, przez Kalifę, al Manzora, z domu Abbassydow drugiego, przy rzece Tygrys założone, przez lat 500 było stolicą Kalifów.

Może to na niey. krwawe żyć wymogą,  
 Ze poydzie moiey z tej fortuny drogą.  
 Jak słońce zaydzie, miesiąc się pokaże,  
 Wyidziemy z miasta... Oh! na cóż się ważę?  
 Nayszlachetniejszą krew na całej ziemi...  
 Siostrę Kalify... po między cudzemi  
 Tulać narody... wnukę Muzułmańską  
 Dać może w pośmiech i wzgardę pogańską...  
 Nie chcę... niech raczey zginę! albo jeszcze  
 Jeśli się w twoich dawnych łaskach mieszcę;  
 Przez sławę twoją, która nie zaginie,  
 I przez grób święty proroka w Medynie (m)  
 Day mi Abassę! tak, iak daiesz ziemi  
 Słodką szczęśliwość rządami twoimi.  
 Zeby nie mówił kiedyś kto złośliwy:  
 Ze był w twym pa. stwie ieden nieszczęśliwy, (n)



(m) Medynat, jest słowo Arabskie, i znaczy miasto, nazywało się przed tym Jatrib. Dopiero po ucieczce tam fałszywego proroka z Mekki, (co jest początkiem Hegiry, czyli liczby lat Mabuherańskich) zaczęto go nazywać, Medinat al-Nabi, to jest miasto proroka.

(n) Giafar złamał zakaz Kalify; widywał się skrycie z Abassą, wprowadzone dziecko, potajemnie wysłał

do Mekki: o czym w krótkce dowiedział się Kalifa i Giasara zabić rozkazał. Ciałowę jego nad mostem Bagdzkim zawieszono; i surdy na całe miasto zakaz wyszedł, ażeby nikt o nim w posiedzeniach nawet wspominąć nie ważył się. Dom nad to cały Giasara wygubił, ociec, i trzech braci jego mizernie w więzieniu poginęło. Tak nędznie upadł, zacny ten, bo z królów Perskich wyprowadzający się dom Barmecydów, który bogactwy wielkimi, a naybardziej miłośny u ludzi głosno słynął.

Abassę zaś z pałacow cesarskich wyrzucono: i do takiej potym nędzy przysła: że chlebem żebrany żyła.

Kondemir powiada, że Harun Kalifa, z przywiązania zbytecznego, które miał do Giasara, do trzydziestu millionow drachm w srebrze na rok jeden dawał w prezentach Giasarowi, po zabiciu zaś Giasara, ledwie kilka talarow na potrzeby pogrzebu jego ze skarbu dano.





## L I S T

*Wymawiający się.*

Nie wiesz, jak tu biłe w ściany  
Z mroźnym wiatrem śnieg zmieszany.  
Ledwie dziś pokazał głowę;  
Zawiało mi iey połowę.

Zwierz w swoje zabiegł komyse,  
Mroz nagle pościął wodę;  
Z ptaków, procz kruka, nie Gyszę,  
Który lubi niepogodę.

Jeszcze na koniu drewnianym  
Jeździł, gdy o zawołanym  
Aleksiewiczu mowiono,  
Ze go do piekła ciągniono.

Takaż zawierucha była?  
Kruki powietrze zmieszali,  
Noc się w pośrzód dnia zrobiła  
Tak to nam kiedyś bajali.

Oh!

Oh! dziś się z miejsca nie ruszę.  
Przyrzekam ci to na duszę.  
Przy ciepłym kominie siedę,  
I Piotrem Wielkim nie będę.



## NA OBRAZ

*Tryumfu Śmierci.*

**N**ie prześlągana! co iak kwiaty z trawą  
Wycinasz króde razem z poddanemi.  
Drży prześlągniona pod twą ręką krwawą  
Natura, próżno prosząc cię za swemi.

Królestwo twoie iest w głębokim grobie,  
Który kray wiecznym dziedzictwem posiadasz :  
Jednym choroba daie znać o tobie,  
Na drugich fama z nienacka napadasz.

Tu Semiramis, Sesostr, Hektor, Greki,  
Salomon, Cyrus, Alexander, ginie :  
Pirrus, Annibal, Scypion, powieki  
Zamknął; i Cezar dokonywa w gminie.

Nie nasyciona tak wielkimi plony,  
Na słabe nawet porywasz się dzieci:  
I biała piękność, i iey włos trefiony  
Pod nieuchronnym twym pociskiem leci.

Ale

Ale tak cię to tylko bojaźliwe  
Malują dusze, co nie są tak śmiałe  
Przystąpić; żeby tę larwę fałszywą  
Zdieli z cię, którą straszysz wieki całe.

Tys jest najlepszą mistrzynią mey wiary.  
Ty kończysz życia ziemskiego przykrości;  
Tym mi się staiesz pierwszym darem z kary,  
Otwierając mi wielkie drzwi Wieczności.



## K A T O

O NIEŚMIERTELNOŚCI DUSZY.

z Francuzkiego.

T-Ak, Platonie! prawda jest: nieumiera dusza.  
 Żyje Bóg, co w niej mówi, i który nią rusza.  
 Bo z kążeby bez tego były w nas przeczucia,  
 Niesmak w dobrach znikomych, i boiaźń 'ze-  
 pfucia?

Czuję to, że mię wciążasz w nieskończone lata;  
 Ze pokruszę kaydany mych zmyślow, i świata.  
 Ze umrę, i zostawię na ziemi re kości,  
 Których barlog wrota mi zawaleł wieczności,  
 Wieczności! słowo straszne, i pociecho iedna!  
 O światło! o ciemności, przepaści bezdenna!  
 Któżem ia? dokąd idę? gdzieem iest? z kąd się  
 wzięłem?

W tamtych kraiach nieznanym, iakowymże  
 czołem

W momencie śmierci moiej istność moia stanie?  
 Duch ten, co dziś o sobie tak ciemne ma zdanie?  
 Ach! cóż w sobie ta przepaść nieprzecyrzana  
 dusi?...

Jeśli Bóg iest, to Kato szczęśliwym być musi.  
 Jest

Jeſt pewnie, ia ſię iego ręki dziełem czuię.  
On na ſercu niewinnym obraz ſwoy piętnuie.  
On ſię zemſci ſwey ſprawy, i złoſliwych zgnie-  
cie.

Ale w jakimże czasie? i na którym ſwiecie?  
Tu cnota przyciśniona pod złoczyńcą ſtęka,  
Tu niewinność przed zbrodnią na kolana klęka;  
Tu za wozem fortuny, co żywo ſię ciśnie,  
Jakby ſwiat dla Cezara zrobiony umyſlnie,  
Spieſzmy więc, by ſię z tego iak dobyć wię-  
zienia,

I patrzeć na cię prędzey, o prawdo bez cienia!  
W czasie ſnu ty przed nami kryieſz twe pro-  
mienie.

Zycie naſze ieſt to ſen, a ſmierć przebudzenie.



---

---

S M U T E K.

---

---

Gdzie promień słońca nie dochodzi,  
Gdzie był najgłębszy w środku skały przedział:  
Smutek, co twarzy swej nie wypogodzi,  
Między tęsknością i rozpaczą siedział.

Czasem rękoma oczy mu zakrywa  
Rozpacz, a czasem nadzieję odpycha;  
Nadzieję, która wstępu tam nie miewa,  
Gdzie z głębi serca blady smutek wzdycha.

W sporych naczyniach, napełnionych łzami,  
Tęsknota gorzkie piołuny mieszała;  
Takim napoiem, dużemi miarami,  
Omdlewający Smutek napawała.

On, choć się wzbrania, chociaż usta kryje,  
Próżno; na ciężką gorycz utykał:  
Częstym powrotem brudny napój piie,  
Który wnet z oczu czystą łzą wypływał.

Na



Na wierzchu skały kruki przeraźliwe  
Powietrze wrzaskiem zmieszali do koła:  
Zlewają deszcze, grzmi niebo gniewliwe,  
Puhacz żałobny bez przestanku woła.

Blisko przypadek niespokojny siedzi.  
Ten to przewodnik Smutku zawołany,  
W ostatnim kącie człowieka wysledzi:  
Zwyczajnie przyjdzie!, kiedy niespodziany.

W nayspieszniejszym bez rozmyśłu locie  
Obiedwie sobie powybijał oczy;  
Choć sam się w swojej natłucze ślepotcie,  
Przecież on wszędzie omackiem doskoczy.

On nie zna ludzi, a lubi ich męczyć,  
Gdzie miłe dziecię, albo syn złośliwy;  
Równie pod jego pociskiem zaięczyć  
Temu co dobry, i temu co krzywy

Powstał przypadek; razem smutek wstał.  
Zaszumi wicher, ziemię wzruszy drzenie:  
Żywa się składa z ciężkim hukiem kraje,  
I przełknięte ięknęło stworzenie.

Na którą tylko obrocił się stronę  
Smutek, gdzie westchnął, gdzie spoczął zem-  
dlony;

Gorącym jego oddechem sporzone  
Pomdlały trawy, usechł liść zielony.

Pierzcha zwierz dziki, a gad iadowity,  
Gdzie miał przechodzić, kupami się snuie;  
Gryząc się wzajem, prześladek ubity  
Swą przeraźliwą posoką farbuie.

Xiążęta ziemi! schylcie się w pokorze.  
Nie obronią was twierdze niedobyte;  
Ani ogromna straż przy waszym dworze,  
Ani imiona w kraju znakomite.

Widziałem, kiedy matka was rodziła,  
I iak was czasem przypadek unudzi.  
Mara iakowaś tak wszystko skłóciła,  
Ze i wy także podobni do ludzi,

DO  
F A U S T Y N Y.*na Nieśląteczność.*

F Austyno! nie mów już więcej o sobie,  
Ześ ieś ślącza, twoje przyrzeczenia,  
Które się w samym miały kończyć grobie,  
Jedno powianie fortuny odmienia.

Ani twój rozum, ni wielkie przymioty  
Nie odmieniły nalogu twoiego.  
Chociażby inży zbierał ci kłos złoty,  
Ty przecie zawsze wolisz co nowego.

Pamiętasz, kiedym całując twą rękę,  
Odbierał wzajem czułe uściśnienia;  
Dziś bez zmieszania patrzysz na mą mękę;  
I śmiechem zbywasz moje umartwienia.

Kiedy w las poydę, bym tam zamyślony,  
Tucząc myśl gorzką, mym ogniem się trawił;  
Gdy się do ciebie powracam ztęskniony:  
Ty mię tym witasz, żem się krotko bawił.

G 6.

Moje

---

Moje dziś wiersze słabe ci się здаią,  
Moje przyśługi przewrotnie nicuiesz;  
Dyskursa moję choć wszyscy uznają  
Za sprawiedliwe, ty je prześląduiesz.

Cóż się to stało? iam się nie odmienił!  
Jeszcze się wznaga we mnie ta chęć wieczna,  
Zebym się więcej w oczach twoich cenil.  
Wiesz co, Faustyno? tyś jest niestateczna.



PRZY-

PRZYKŁAD  
RELIGII.



12

S

do  
br  
dzi  
rą  
cie  
w  
ch  
in  
w



## PRZYKŁAD RELIGII.



**S**łońce się miało ku zachodowi, kiedy Polidór chcący zażyć wieczornej chwili, po nad brzegiem morskim w kilku przyjaciół przechodził się, i do córki swojej dziesięcioletniej, którą za rękę prowadził, tak mówić zaczął. „Dziecię moje, posąg ten Neptuna, który na rym wzgórku widzisz, i któremu się lud bałwochwalny, iak Bogu, kłania, szczerem tylko kamieniem jest, próżno na twarz przed nim padając, w śród gorących modlitw zimne jego liżą nogi;



gi; bo on z natury swojej, i głuchy, i nieczuły. Ale ani miesiąc, ani to słońce (choćby najbardziej ludzi zaślepić mogło) Bogiem jest. Klimeno! patrz, jak się schyla ku zachodowi, i to znaczy niedostatek jego, że chcąc oświecić drugą połowę ziemi, dla nas mu już światła nie staie. Potrzeba, żeby Bóg był przytomnym wszędzie i zawsze; widzącym wszystko bez zasłony, dostarczającym bez uymy sobie; wszechmocny bez wsparcia, i wielkim bez miary. Jeden tylko jest Bóg, ani więcej ich kiedy być mogło. On wolą swoją wyprowadził z niczego wszystko, co widzisz, żadna zaś rzecz sama siebie stworzyć nie mogła, boby musiała być pierwej przed sobą. On z drobnych proszkow pozbierał te twarde kruszce i skały, i z nich insze ręka człowieka na ozdobę albo wygodę jaką, insze zaś (wielorakie im postaci dając) na różne w bałwochwalstwie posągi obrocila; z których reszty po podnogi nasze walaiać się, świadczą o podłym początku ich. On rusza te fale morza; i brzeg, po których chodzimy, położył mu za granicę. Kwiatami obsypał ziemię, i zrobił ją dla żywności stworzenia swego urodzayną.

dzayną. W głębokości powietrza pozawieszał gwiazdy swoje; infzym zaś bieg naznaczył, którego iednostaynie pilnują. A na ziemi, prowadzi człowieka za rękę, śródkiem tyśiąca niebespieczeństw, które go oraczają. Klimeno! gdzie tylko spoyrzysz, on wszędzie iest, widzieć go możesz w tym rownym rządzie świata; w tobie samey, i w twoim dalszym powodzeniu widzieć go będziesz. On często umartwieniem pociąga do siebie ludzi; ale on dobry ociec iest, nie długo martwi dzieci swoje. Przecież chroń się złego, bo on iest sprawiedliwy; przenika myśli twoie, i nigdy nie karze bez przyczyny. Trzymaj go się statecznie, a bądź mu wierna. „

Jeszcze coś chciał mowić Polidor, kiedy niespodziewanie od zaboycow morskich obskoczeni, wszyscy razem zabrani; i na okręt zaprowadzeni byli. Zmrok, który nadchodził, powiększał okropność przypadku ich, za którym nastąpiła i rozpacz, kiedy z umykającym się śpieszno okrętem ginął przed oczyma brzeg ich, z którym się na wieki żegnali. Klimena przestraszona pod poły oycy tuląc się, tak go w spólnym

nym umartwieniu cieszyła. „Kiedyśmy po nad brzeg morski chodzili, Bóg widział nas równie, jak i tych zboycow; on nas pozwolił porwać. On nic nie robi, ani nie karze nikogo bez przyczyny, ale też, jak dobry ociec, nie długo martwi dzieci swoje. „Wielką to było pociechą dla Polidora słyszeć tyle z ust dziecięcia swego w ten czas; kiedy nawet przyjaciele jego ciężkim smutkiem przyciśnieni, w kącie okrętu wzdychając, i sobie i jemu radzić nie mogli. Ale oczywista nędza, która je trapiła, i myśl gorzka, która im więcej jeszcze nieszczęścia obiecywała, osłabiły prętko pociechę tę; a rozum poradny w swobodzie, jedna przygoda zrobiła dla nich nieużytecznym,

Stanęli na koniec u brzegu nie znanego, który im żywszy wystawił obraz niewoli przyszłej. Oto już podobno ta jest ziemia nieszczęśliwości naszych, zawołał Polidor: „Oczywisto „moja, jakżeś mi dziś y słodka! dogodziło się „przeznaczeniu memu: nie umrę w domu mo- „im, i nie obaczę na wieki ziemi, w której „mi się jedynaczka moja Klimena urodziła. „

Tym

Tym czasem łodzie, które podpłynęły, przeprowadziły na brzeg rzeczy, i niewolnika; gdzie zaraz za cenę umowioną kupieni; i panu swemu oddani byli. Wszystkiego był dostatek wielki, co do wygody ich należeć mogło; ieden tylko zakaz nie wychodzenia za obeyscie domu i ogrodu, całą był niewolą ich; tak dalece, że z czasem przyzwyczaiwszy się do życia tego, Klimena zaczęła być spokojniejszą; i tak do oycy mówiła: „Nie zapomniał widzę Bóg o nas, dając nam pana z sercem litośnym. Bo i jaź sama była udręczeniem naszym, a i sto-tnego złego jeszcze nie doznaliśmy. Jestem teraz zupełnie spokoyna! (powtarzała to po kilkakroć razy, całując w rękę oycy swego) „zupełnie jestem spokoyna z tobą „Ale Polidor westchnąwszy, odpowiedział: „Dziecię moje, nie ufay nigdy fortunie, choćby cię najbardziej upewniała. Bardzo często pokazuje ona ludziom niby grunt mocny, na którymby się śmiało oparli, ażeby potym tym cięższy nastąpił upadek ich. Ty nie wiesz, co to był za człowiek dziad twój? Bogaństwa ięgo daleko słyngły, a zazdrość i przypadek nie mogły mu zaszkodzić.

szkodzić nigdy. Ja dobrze pamiętam, iak ze wszystkich stron przychodził dostatek w dom iego; a za nim (iak zwyczajnie bywa) przy-  
iacioł mnostwo zrobiło go możnym w okolicy. Drzwi iego otwarte dla każdego, ziednały mu powszechnie imię dobroczynnego. A co bardziey ieszcze zdało się upewnić mu stateczność szczę-  
ścia tego; że dziad twoy zbierał zawsze poczci-  
wie, a z tego bliźniemu swemu w potrzebie, na  
nic się nie oglądaiąc, udzielał hoynie. Nikogo  
w kupnie, albo przedaży nie oszukał, nikogo w  
danym słowie nie zawiodł. Był wiernym Bogu,  
i bliźniemu. Oroż na koniec ogień i woda po-  
dzieliły między siebie dostatek iego w ten czas,  
kiedy nam wszystkim oświadczył; że dla tego  
tak wielką, bo już ostatnią za morze wyprawę  
czynił; ażeby potym spokojnie resztę dni swo-  
ich kończyć. Tey właśnie godziny, przyszła  
nowina rozbicia się ze wszystkim okrętu iego;  
kiedyśmy pomiędzy dogorywającemi popiołami  
spalonego domu naszego, zabierali kawałki na-  
czynia stopionego. Ale Bóg wszystkim rządzi,  
i rządzi sprawiedliwie, za tę dziada twoiego u-  
dzielność dla bliźniego, i iego w niczym nie-  
po-

pozłakowane życie, czyliż się był powinien takowego końca spodziewać?

Klimeno! dusza nasza nieśmiertelna jest, i nikt darmo cnotliwym nie był. Szczęście albo nieszczęście nie będzie na ziemi nadgodą cnoty; bo tyle razy doświadczamy, że się do końca wiedzie bezbożnym. Zeby tedy Bóg w rządzie swoim sprawiedliwym był: potrzeba, ażeby dusza nieśmiertelną była, i inszą nadgodę, nie tę na świecie skazitelną, odbierała. Wiedział to dobrze dziad twój, przyiał bez narzekania z ręki boskiej ubóstwo, w którym dni swoich spokojnie dokończył.

Rok blisko niewoli ich dochodził, a jeszcze pana swojego nie znali; sami tylko posługujący im o hojności i wspaniałości duszy jego wypowiedzieć się nie mogli. Kiedy raz w ogrodzie ociec z klimeną zabawiał się, wszedł niespodziewanie Altamor, (to było nazwisko pana ich) i tak mówić pocznie. „Bogowie dali mi dosta-  
„tek, a ja się nim chętnie dzielę z bliźnim mo-  
„im. Spodziewam się, że tu wam na niczym  
„nie-



„nie zbywało. Wdzięczność, którą mi za to  
„mieć powinniście, bogom pacyperwey należy;  
„i dla tego, ponieważ w krotce wielkie ich  
„święto następuje; potrzeba, ażebyście i wy  
„wraz z całym ludem moim wystawionym w  
„pośrodku miasta bogom miejscowym pokło-  
„nili się. Ja, Altamorze! odezwał się Polidor,  
„jedynego wyznał Boga; iemu się tylko kła-  
„niam, i iemu za te łaski, któreśmy w tobie zna-  
„leźli, dziękuję. Na to żeś nas w rękach wygo-  
„dach tak hojnie tuczył, ażebyśmy po tym,  
„jak bydłęta od żłobu na rzeź prowadzeni by-  
„li? Nie mieszay, prosimy cię, tej wdzię-  
„czności, którą mamy dla ciebie; i pozwól,  
„niech w tej wierze spokojnie umieramy, w  
„któreyśmy się szczęśliwie porodzili. „Ani ty  
„bezkarnie bogów moich szarpać będziesz, mo-  
„wił Altamor: przez dwa dni jeszcze namyślać  
„się macie; potym was, albo życie spokojne,  
„albo śmierć okrutną czeka. „Wyszedł z ogro-  
„du, i zostawił w sercu Polidora głęboki smutek,  
„w którym utopiony, słowa do swojej Klimeny  
„przemówić nie mógł. Ona zaś tak oycę swoje-  
„go cieszyła: „I czegoż na tej ziemi żałować  
„ma-



„ mamy, jeżeliby umierać przyszło? śmierć  
„ nam otworzy szczęśliwe wrota do wieczno-  
„ ści, gdzie nas ani łaska Altamora pocieszy,  
„ ani gniew jego zatrwoży. Ale jeszcze... jak  
„ powiadaia, on jest skłonny do politowania,  
„ i coś dobrego sama nawet twarz jego znaczy;  
„ wzruszyć go mogą proźby moje. Ja mu po-  
„ wiem, że jeżeli nas gubić zechce, wierniey-  
„ szych już sobie niewolników nie\_znaydzie. „  
„ Klimeno! mowi Polidor, głęboko w sercu  
„ leży religia; i nikt iej dotknąć niemoże, że-  
„ by razem i serca nie dotknął. Nie chcąc się  
„ kłaniać bogom jego, będzie to samo pogardą  
„ ich; a któżby się nie wzruszył, widząc znie-  
„ ważoną wiarę swoją? Przecież trzeba nam  
„ wyznać prawdę: Boże! kòrego znam od dzie-  
„ ciństwa mego, i któryś mnie, i nikomu, nic  
„ złego nie zrobił; ia się ciebie wstydzic nie  
„ będę. „

Już przyszedł dzień wielki, i wystawione w  
pośtzodku miasta posągi niezmierne tłumy ludu  
otoczyły, za ołtarzem stosy gotowe na spalenie  
winowaycow czekały, którzy albo za zbrodnie

na śmierć osądzeni byli, albowy czci bogom oddawać nie chcieli; ażeby tym sposobem nie przeciwnego bogom, uroczystości i ofiary ich nie mazało.

Przybył na koniec Altamor, na którego tylko czekano z niewolnikami swemi, a kiedy się pospolstwo uciszyło, tak do Polidora, i towarzyszwow jego mówić zaczął: „Nie na tom was tak „drogo u zboycow kupić, ażebym kiedy zgubił waszay miał pragnąć. Wy do niej sami „upornie ciśnecie się, nie chcąc odstąpić Boga „swego, a pokłonić się naszym; iakoby ten „mocniejszy był, który was od niewoli teraz „mocniejszy ochronić nie mógł, nad naszych „bogów, do których ziemi dostałście się. Boga „ją się nas sąsiedzi; rodzi nam nad insze kraie „plennieysza ziemia; żyjemy spokojni i szczęśliwi. Dar to jest bogow krajowych, i znak „oczywiły, że mocniejszy i łaskawsi są nad inne „postronné bogi. Weźcie to kadzidło, które „widzicie, i nachyleni przed niemi rzucaycie go na ogień; a potom wybieraycie ziemię „do uprawiania, którą chcecie, albo miasto do „pro-

„ prowadzenia kupieństwa, które sobie życzyć  
„ będziecie. Altamor wam przyrzeka wolność  
„ zupełną w kraju, i pomoc we wszystkich. „

Kliton, ieden z towarzyszw Polidora odpowiedział: „ Prawdziwy Bóg nasz tym, którzy  
„ go się statecznie trzymają, daie nagrody nieskończone; a twoi bogowie docześnie tylko,  
„ iak mówisz, płacą. Nie chcemy tak marnie  
„ mieniać dobra istotnego za omamienie, i szczę-  
„ ście nieśmiertelne za rokosz krótką.“ W tym  
na stos podpalony winowaycow kilka wrzucono;  
Kliton zaś przy wolnym ogniu postawiony, aże-  
by przedłużeniem męki, do odmienienia przed-  
sięwzięcia mógł być przymuszonym.

Stało się, iak sobie Altamor życzył, po krótkim czasie zawolał Kliton: „ Wielcy bygowie  
„ Altamora! ia was wyznaię.“ Rozwiązany zraaz do ołtarza przystąpił; i razem niešťczęśliwym przykładem swoim resztę załęknionych towarzyszw za sobą pociągnął. Polidor zaśloniwszy sobie oczy (bo ani w niebo, ani na Klinenę swoją spojrzeć dla wstydu nie mógł) szedł z wol-

na ku ołtarzowi za drugiem; w ten czas, kiedy  
okrzyk pospolstwa powietrze napełniał. Dał znak  
Altamor, żeby się uciszono; chcąc Klimenę,  
która się jedna tylko została, do ofiarowania bo-  
gom swoim namówić. Ale ona zaczęła pierwej:  
„ Wielki Bóg chrześcijański mocen jest w po-  
„ środku ognia dać ochłodę wybranym swoim;  
„ albo stateczność, na wytrzymanie męki. Nie  
„ rozumiey, Altamorze! żeby mię kiedy ustra-  
„ szyć mogły stofy twoie. Ty nie wiesz, jak za  
„ krótkie ucierpienie dla Chrystusa, hojny jest  
„ w nadgodę Bóg nasz. Ani tego życia za-  
„ łować mogę, które mi odbierasz; dla przy-  
„ szłego, które mię wkrótce czeka. Żal mi tyl-  
„ ko, że zostawiam na ziemi tych zwiedzionych  
„ chrześcian, a między niemi cya moiego Po-  
„ lidora; że tego Chrystusa, którego po tyle  
„ razy przedemną wychwalał, dzisiaj odstąpie-  
„ niem swoim znieważa. Dawny moy Boże!  
„ którego ja nigdy dla nowych nie odstąpię,  
„ daruy tę ufomność oycu mojemu, i wroć mu  
„ serce wiernych twoich. Altamorze! chrześci-  
„ anie krzywdy swoje darować powinni. Tylko  
„ o to żal miałam do ciebie, żeś był przycz-  
„ ną

„na rozdzielenia mię z oycem moim, otoż ci i  
„to odpuszczam: i jeszcze w pośrodku ognia  
„prosić za tobą będę; ażebyś, kiedyś oświe-  
„cony, prawdziwego poznał Boga. Te twoje  
„cnoty, powszechnie znane i chwalone, warte  
„są wiary lepszej. “

To kończąc, biegła ochotnie ku ogniowi;  
ale Polidor, za rękę ją porwawszy: poczekaj,  
mówił, Klimeno moja! iam z tobą był zawsze  
od dzieciństwa twego, i nigdy cię postępek mój  
nie zawstydził; a ty dzisiaj chwałebnie dla cie-  
bie, ale ze wstydem moim uprzedzasz mię. Al-  
tamorze! ia na wieki wyznaję Boga Klimeny,  
który ją tak umacnia. Póđźmy, córko moja!  
póđźmy razem na ogień, ia ciebie, Boże, i dzie-  
cięcia moiego nie odstąpię. Wziął ją na ręce  
Polidor, a ona płacząc z radości, i za szyję oy-  
ca swojego ściskając, wołała: „Altamorze! oćiec  
„mój ze mną jest; już ci nie mam co odpu-  
„ścić. “

Reszta towarzyszw, porzucili także ołta-  
rze; i obłąpiwszy w koło Polidora z Klimeną,

H 2

Kliron

Kliten z pomiędzy nich tak mówić zaczął:  
„Mnie to najpierwey należy poyść na stos ten,  
„którym was złym przykładem moim tak cię-  
„żko zgorzzył. Nie bróńcież mi tey sprawie-  
„dliwey poprawy moiey! niech w oczach wa-  
„szych zetnę tę plamę; i pokażę wam drogę  
„prawdziwego chrześcianina, od której odstę-  
„piłem moim dopierom was był odwrócił.  
„Spokojnie umierać będziecie, nie bojąc się  
„iuz o mnie, który między wami nayślabszy  
„byłem.

Kazeł zatrzymać wszystkich Altamor; i przy-  
stąpiwszy do Polidora, wziął z rąk jego na ręce  
swoie Klimenę, i tak do zgromadzenia całego  
mówił: „Czegoż zapomnieni placzecie wszyscy?  
„oto iuz w tych łzach waszych oddaliście ofia-  
„rę Bogu chrześciańskiemu. Co ze mnie iest;  
„odtąd innego Boga znać nie chcę, tylko tego,  
„którego Klimena wyznała, i który przez nią,  
„tak do mnie mocno mówi, że mu się oprzeć  
„nie mogę. Życie szczęśliwi, chrześcianie! ia  
„bratem waszym iestem. Spodziewam się, że  
„mi zawsze wierni będziecie, kiedyście Bogu  
„wa-

---

„ waszemu wierni byli. Nauczaycie ludu moie-  
„ go tey dobrej wiary; a dzień dzisiejszy nie-  
„ chay się odtąd nazywa dniem tryumfu Chry-  
„ stusowego. “







DO  
JAŚNIE WIELMOŻNEGO JMCI XIĘDZA  
ADAMA NARUSZEWICZA

B. K. S.  
*przy oddaniu wierszy*  
NA SUMIENIE.

○ Ty! któremu Polskie Muzy winne  
Wróconą piękność i chwałę;  
Coś im z rąk pobrał bawidła dziecinne,  
I okrzesałeś zdziczałe.

Coś niedbałością warkocz ich splełany  
W porządną kosę pospłatał,  
I z naysławiejszymi Muzami Sekwany  
Słodką równością pobratał.

---

Po Kochanowskiem wieniec pozostały  
Dwa wieki leżał nie brany;  
Na twe go skronie włożył narod cały,  
Następco długo czekany!

Przypatrując się twojemu rymowi,  
I mnie się pisać zachciało.  
Oddaę memu Nauczycielowi  
Wiersze, na jakie mię stało.

Szczęśliwyś! czyli śpiewasz gay zielony,  
Jak się kwiatami rozrodzi;  
Czyli pod niebo wzlecisz nieścigniony,  
Równie ci łatwo przychodzi.

A mnie mój ciężar trzyma na nizinie,  
Próżno się w górę podnoszę.  
Błogo mi, jeśli iaka się nawinie,  
Taką ci różę przynoszę.

Może przy tobie, co przez dar jedyny  
Nie znasz w twym ogniu odmiany:  
Ożyłbym, iak ow chłopiec Palestyny,  
Tchem uś praroka zagrzany.

Może przy twoim słońcu, co przyjemnym  
Promieniem świeci, i grzeje;  
Poszedłbym prościey, a tu w mroku ciemnym  
Obłądne chwytam koleje.

Cieężko mi ściągać myśli rozbiegnione,  
I w iarżmo wierfza ie wprawić.  
Przyimiy za dobre staranie czynione,  
Jeżlim nie umiał zabawić.



S U M M E N T E.

. H 5





## S U M M E N T E.

---

*Quos diu conscia facti  
Mens habet attonitos, & surdo verbere cadit.*  
JUVEN: SAT. 13.

---

**N**Oc przyszła; i z nią razem ciemna iey  
drużyna,  
Po dołach się rozbieży, po górach się wspina,  
Czarnym kirem naturę przykrywając całą,  
Aby słodko stworzenie zmordowane spało.

Jeden moy nieprzyjaciół nigdy nieuspiony,  
I iako do potrzeby zawsze uzbrojony,  
Czuwa na mnie; sen miesza, stawia siła w cieniu,  
Zaraz mię napadając po mym przebudzeniu.

---

Szczęśliwy! z którym rada niewinność przebywa,  
Ona go od snów strasznych swą ręką zakrywa.  
A zabawnych dla niego marzeń się chwyta;  
I z wolna zbudzonego uśmiechem swym wita.

Za lat młodszych ja także tak szczęśliwy byłem,  
W pośrodku nocy głębokiej sam wesoł chodziłem;  
I patrząc na ten księżyc, i na tych gwiazd zgraie,  
Z pociechą śpiewał temu, który im bieg daie.

Dzisiaj ie blade widzę, chociaż świecą jasno:  
Między rzami mych oczu promienie ich gasną.  
A nawet patrzeć na nie przychodzi oporem;  
Wtędy mi się pokazywać przed tym nieba dwo-  
rem.

Szum wody, przeszłą świata przypomina karę.  
I zdaie się, że znowu morza brzegi stare.  
Poddaly się, falami zbite gwałtownemi,  
Nowym głożąc zalewem obwinionej ziemi.

Prak nocny inszym dla mnie stając się tyranem,  
Okropny głos swoy miesza z nocą i z mym sta-  
nem.

Niby



Niby mię za coś łacie, i coś wywołuje;  
A moy mu nieprzyjaciel ieszcze potakuie.

Wzmę żalobną lutnię; i przez tęskne tony  
Powiadam cichym ścianom stan moy uprzy-  
krzony:

Które toż powtarzając pod czas tonu przerwy,  
Niby się pouczają, com im zadał pierwey.

Próżno ogień rozniecam, co swoim płomieniem,  
Co różnością farb swoich, co mię bawił cieniem:  
Dziś mnie straszy, że wkrótce dnie ziemity na-  
stają;

Gdzie spłoną suche góry, co mię otaczają.

W takiej trwodze wyglądam porankowey zorzy;  
Ażali mnie mój smutek cokolwiek umorzy  
Czas, w którym, powiadają, jakąś folgę czuiał  
Ci, co słabością ciała złożeni chorują.

Już praki pierwszy słońca promień przywitały,  
Gór wierzchołki ożywnym światłem zajaśniały:  
Rolnik budzi do pracy czeladkę zaspaną; ...  
I ja cokolwiek oczy przecieram splakane.

---

Przecież moy nieprzyjaciel próżnować nie lubi:  
Wszystkie moie rozrywki, w ich początkach,  
gubi.

Z goryczą miesza wszystko, co iadam, i piję:  
Z iego ręki, codziennie umierając, żyję.

Okrutną jakąś rokosz i pociechę miewa,  
Gdy widzi, iak mi czafem srogi ból dogrzewa.  
Lubi iątrzyć me rany, lubi, gdy się trwożę;  
Ale zabić mię nigdy nie chce, czy nie może.

Co mię tylko otacza, zarazą ozionął.  
Boię się słońca, chmury, wiatru, co powionął.  
Smutno mruczą strumyki, ptak żałośnie śpiwa.  
Łąka się stała tęskna, i róża nie żywa.

Zacząwszy od przyjaciół, których nie mam w  
bidzie.

Wszystko za iego wozem tryumfalnym idzie.  
Wszystko grozną piorunem pooblekał chmurą,  
I z całą mię moy tyran poklucil naturą.

Sumienie! króć ty iesteś, żeby ci bezkarnie  
Uyść miało tyle ludzi uciśnionych marnie?

Od

---

Od pierwszego człowieka, co się wczymś zmylił,  
Próżno się każdy oprzeć twojej broni silił.

Krwawe twoje chorągwie od kolebki świata  
Rozwinąwszy, woiujesz przez tysiączne lata.  
Chlubą nadęty łupow zwyciężkich bez liku,  
Nawiszałeś po świecie, stary naiezdniku.

Czemu walcząc pod hasłem niezwyciężonego,  
Zabiegasz aż do kąta ziemi ostatniego?  
Strach robiąc cię bożyszczem, wspiera wielkość  
twoją;

A ty meś tylko mocny, że się ciebie boją.

Ja wydam twój ród podły: zdeymę tę miazgkę,  
Pod którąś dokazywał na twej sławy wiarę.  
Zbiorę lud rozpierchniony, dam na cie orężę:  
Przynaymniey cię zawstydzę, kiedy nie zwy-  
cięzę.

Zmieszanie cudzołożne wielu niecnót w ciszy  
Dało ci życie, które głupstwem naszym dyszy;  
Które, iako słabieie, gdy się usłatkuiesz,  
Tak go rozboiem szlaków bitnych utrzymiesz.

Kto

Kto ma męstwo pocziwe, szuka przeciwnika,  
Który się z nim równemi siłami potyka:  
Nie znieważay swej broni rzezią tłuszczy  
krwawą.

Ty napadasz bezbronnych; i zowiesz to sławą.

Zyi, święta wspaniałości! a tyś ią umorzył.  
Komuś kiedy darował, choć się upokorzył?  
Srożeiesz, gdy przed tobą drzę ze strachu cały:  
Podłyś jest, i dla tego w twym szczęściu  
zuchwał.

A ja złorzeczę temu, którego się boję!...  
Sędzio, świadku, i panie, daruj głupstwo moje!  
Nie przyczyniaj mi nowey do dawnych ran  
rany,

O groźny moy tyranie! o nieubłagany!

Chciałbym zeyść z oczu twoich, moy dozorczo  
fogi;

Aleś mi do ucieczki pozalegał drogi.  
Jużes mię ściśnął zbliska... ziemi wywołaniec!  
Zamknę się chyba w sobie, w moy ostatni  
szaniec.

Tak

Tak jest: gdzieś dotąd jeszcze (jakbym go się  
wstydził)

Nie był nigdy, i wiernych progów nie odwiedził;  
Poydę do serca mego, i tam troski moje  
Na łonie przyjacielskim cokolwiek ukoję.

Poydę! moy ten przyjaciel, moy ten zawołany,  
Kiedym tak w domu iego dawno pożądany;  
Nazwie to dniem szczęśliwym, gościną przy-  
iemną:  
Odpocznę w sercu moim, i serce me ze mną.

Zostańcie przy drzwiach, troski, tęskne zamy-  
ślenia,  
Narzekania tajemne, i głośnie ięczenia!  
Ja sam tylko tu wnijdę, w tę pociechy bramę:  
Do was już nie powroczę; zostańcie tu same.

Jam to mówił. — a los moy poszedł swoją drogą.  
Zdrada jest; w pośrodku mnie oszukany  
frogo!  
Moy główny nieprzyjaciel nie wiem jakim  
kształtem  
Opanował me serce, i mieszka w nim gwałtem.

Mar-

Marna moja nadziejo! jedno miejsce było,  
Co mi za ostateczne schronienie służyło.  
Moy tyran w całym świecie, iak w swoim się  
krząta:

Mnie małego w mym fercu pozazdrościł kąta.

Oh! on tu widzę nie sam, iakże się rozrodził?  
Całą swoją rodzinę na moy koszt pozwoził.  
Zdaią się być bezpieczni, iak w swojej stolicy:  
Maią kształt rowarzystwa, chociaż wszyscy dzicy.

Oczy krwią zapłynione, naieżone włosy,  
Pozor wszystkim zaboyczy, i chrypliwe głosy,  
Twarz śniada, wysuszona, kolor w ustach siny:  
Podobni, iak gadzina bywa do gadziny.

Wołaią się imiony swego pokrewieństwa,  
Są między niemi bracia, siostry, i małżeństwa;  
Płeć biała, miasto wdziękow, i powabnych  
oczy,

Ma surowość na twarzy, węże u warkoczy.

Wszyscy się pilną swoją robotą krzątaią.  
Ci brudny iakiś napoy z goryczą mieszaią:

---

Ci na długim regestrze liczą iakieś kryłki;  
Ci na mnie kręcą łyka, ci ostrzą pociski.

Serce moje zdradliwe! czyż nie ia to pierśzy  
Do domu twego byłem? czyż nie ia ci szczerzsy.  
Niżli ci, co nastaią na dziedzinę moię?  
Tyrani cię obliedli; ia u proga stoię.

Ja od ciebie wzgardzony! którym siłą całą  
Zawſze się o to starał, czegoś tylko chciało;  
Którym ci tyle razy służył z zdrowia stratą!  
Którym cię tak szanował: A serce mi na to:

Gościu ty moy niewczesny! cożem temu winno?  
W ten czas, gdy cię wiązano pieluchą dziecinną,  
Uślužny kapłan ten twoy domek ochędożył,  
I tron Bogu wielkiemu w pośrzedku położył.

Jam czuło, kiedy? wchodził pan nieogarniony:  
Naypierwey wskroś mię przeiął strach upoko-  
rzony;

Potym niewymowiona wonność weſzła tłumem,  
I z nią cichość głęboka. Bóg nie idzie z  
szumem.

Ogień



---

Ogień na wielu miejscach domku tego błysnie;  
Potym się nawał światła białego naciśnie;  
Potym mię ogarnęła miłość jakaś święta,  
I mdle zmysły zalała słodycz niepojęta.

Boże! któż cię obaczy? iam cię tylko czuło  
Tak jest, gościu, mieszkał Bog, ale się popsuło  
Z czasem wszystko, nog jego ślady pościerane;  
I wyszły z domku twego cnoty zaplakane.

Prawda, zem prętko mego szczęścia zapomniało;  
I poszło, gdzie zepsute prowadziło ciało.  
Ale ci na to rozum udzielony z gury,  
Zebyś nim był hamował złą skłonność natury.

Czemuż tak łatwo żądzom moim pozwalasz?  
Jeżelim było ślepe, to ty światło miałeś.  
Teraz moją i twoją zgubę widzisz jasnie:  
Zła iskra, i dom spali, i sama zagaśnie.

Na kogoż skargi twoje rozkładasz i żale?  
Tyś winniejszy nademnie, żeś rządził niedbale,  
A ci, których twoimi zowieś tyranami,  
Są własnym naszym plodem, naszymi synami.

Rozum

Rozum, zbełstwionych żądz pęną ujęty,  
Zapomniał stanu swego, złączył sił z bydlęty.  
Jakaż z takiego łoża pociecha być miała?  
Pomieszana natura straszyla wydała..

Dopiero nędzne serce z wolna mię uczyło.  
Jak mi się to iaszczurze gniaz 'o rozrodziło.  
Przypominało wiernie czasy, znaki, ziemię;  
Zem w refszcie przekonany uznał swoje plemię.

Boże! iam cię naypierwey poznał po dobroci!  
Twoie niebo chociaż się dla człowieka ści,.  
Zabłyśniesz iasnym słońcem, roźbiegną się wody.  
Wyidzie niespodziewana plenność z pośrzod  
szkody.

Ty masz roszkosz iakowąś, świadczyć dla stwo-  
rzenia!

Rozradzasz, uszczęśliwiasz ludzkie pokolenia.  
Jak gdyby dobre dzieci już ci się przebrały,  
Mnie się tylko naygorzse z twej ręki dostały.

Nie mruczę na te moje nayostrzeysze stroże:  
Ty z pośzrodka tych kolcow możesz dobyć roże.  
Ale

Ale niechby powolniey, niechby z mnieyszą  
władzą:

Niech mi cokolwiek mieysca w fercu moim dadzą.

Jakby o tobie nigdy, żeś iest, nie wiedzieli;  
Znęcaią się synowie nad krwią, z której wzięli.  
Wstyd mi, przed memi dziećmi padać na  
kolana.

Pozwol; ia się powrocę do dawnego pana.



Ó USPO-

## O USPOKOJENIU Z CNOTY.

**K**To cnotę smutną maluje,  
Wiele iey wdziękow uymuie.  
Ona się miley uśmicha,  
Ocz nie zavraca, nie wzdycha.  
Wszystkie przygody jednako przyimuie:  
Szczęście, nieszczęście, równie ią kosztuie.

Prożno zaostrza swe strzały  
Przypadek na nią zuchwały;  
Jak skała falą tłuczona,  
Burzę swym statkiem przekona:  
Albo iak ogień, im bardziey się wzmaga,  
Tym do piękności złotu dopomaga.

Sokrates piie truciznę  
Za to, że kochał oyczyznę:  
Wypił; i daie bez trwogi  
Swym przyaciołom przestrog.  
Anitus (\*) bardziey miefza się i mruczy,  
Ze mu i śmiercią nawet nie dokuczy.

Czego

(\*) Anitus, fa'fzywy ofkarżyciel Sokratesa.

Czego ten biega stróskany?  
Rwie włosy łzami zalany!  
Za tym mu się płakać zdało,  
Co być koniecznie musiało.  
Niechay się jeszcze choćby sto lat smuci,  
Na ieden fenig szkody nie powruci.

Łańcuch od wieków związany  
Każdey na świecie odmiany,  
Ten go przerobić sam zdoła,  
Który powiązał te koła.  
Na coś się smucić? co jest, albo było,  
Wszystko przedwieczny wyrok uściłło

My bardzo krótko żyjemy,  
I nic o jutrze nie wiemy.  
Za coż ten kwaśić czas mały!  
Nieba nie na to go dały.  
Niech niewolnikow złota strach obleci,  
Czego się trwożyć małą boskie dzieci?

Po drodze tkaney cierniami  
Kwiaty rzucając przed nami;

Idźmy

---

Idźmy, nie dbając na bole,  
Choć nas co czasem ukole.  
Tam, powiadaia, gdzie bez kolcow róże,  
Każda się rana prętko zgoić może.

KONIEC TOMU I.



TOM I.

I

RE

\* \* \*

---

# R E G E S T R.

---

<i>Do Justyny, o wdzięczności</i>	- - -	3
<i>Pożegnanie z Lindorą</i>	- - -	5
<i>Tęskność do Justyny</i>	- - -	7
<i>Rozstanie się Medona</i>	- - -	9
<i>Do Justyny, o stateczności</i>	- - -	13
<i>Do Motyla</i>	- - -	17
<i>Do Skowronka</i>	- - -	19
<i>Korydon</i>	- - -	21
<i>Korydon szczęśliwy</i>	- - -	23
<i>Korydon smutny</i>	- - -	24
<i>Laura i Filon</i>	- - -	27
<i>Do Owieczki straconey</i>	- - -	39
<i>Po rozstaniu się z Rozyną</i>	- - -	41
<i>Do Justyny</i>	- - -	44
<i>Dafne i Korydon</i>	- - -	46
<i>Pieśń o Justynie</i>	- - -	49
<i>Dzieci u Matki</i>	- - -	50
<i>Na odmieńnione Nad-Prucie</i>	- - -	56
		Nice



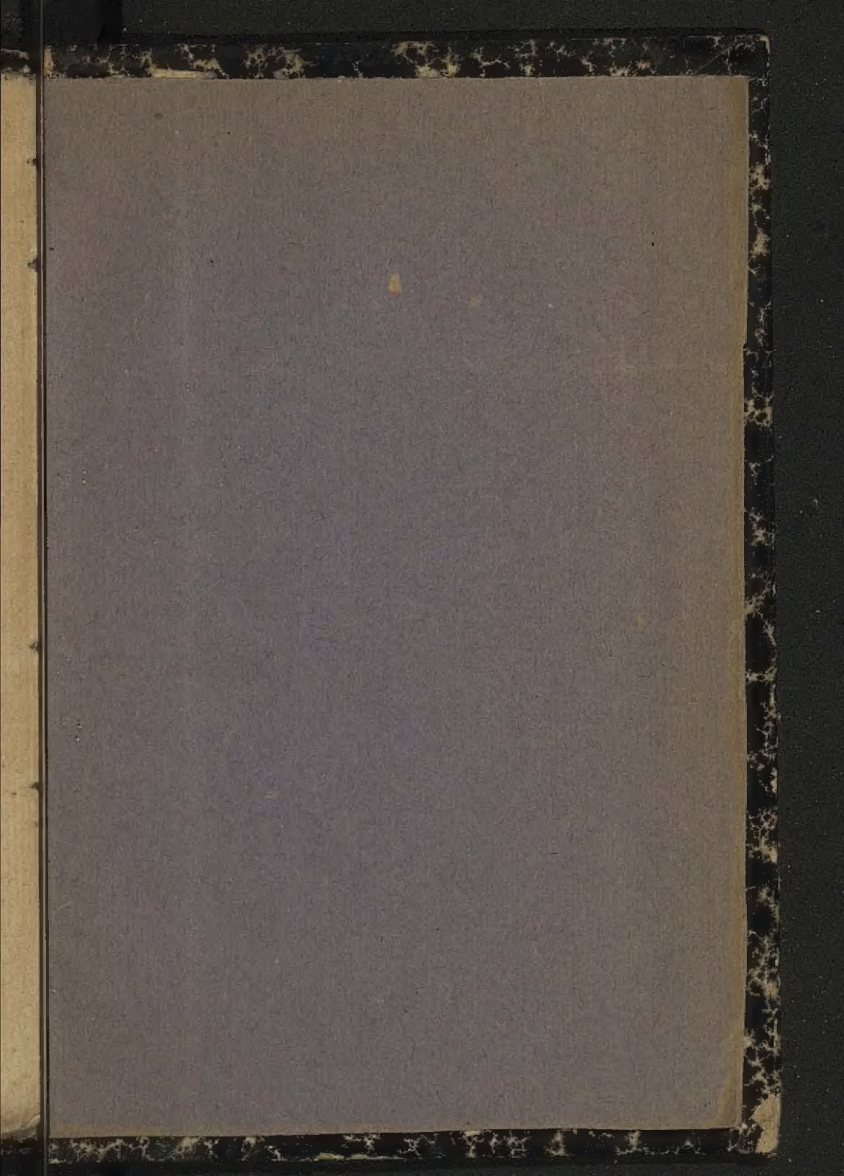


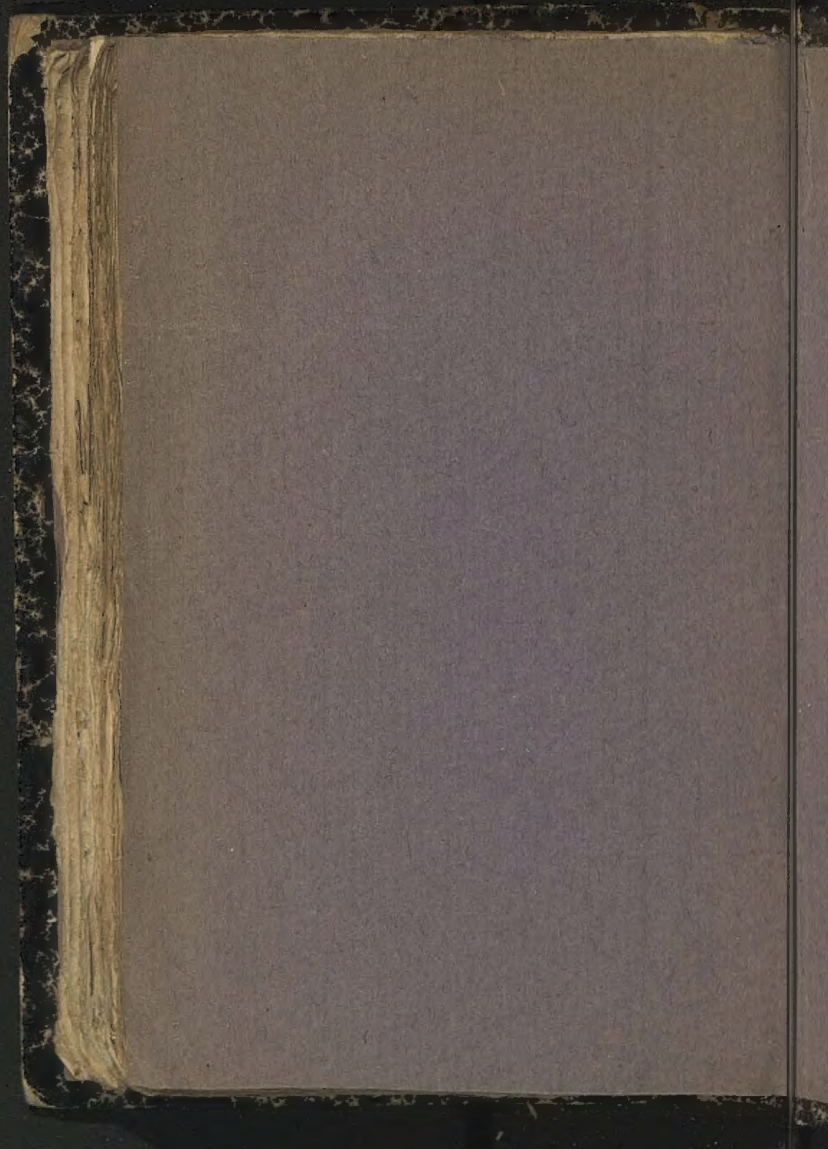
<i>Nice do niesłatecznego</i>	58
<i>Na posągi Roinictwa i Poetyki</i>	59
<i>Przykład uczynności</i>	63
<i>Zabawa na ustroniu</i>	77
<i>Brutus, o nieśmiertelności duszy</i>	83
<i>Do przyjaciela</i>	86
<i>Szczęście</i>	87
<i>O nieszczęściach Ojczyzny, i rzezi</i>	
<i>Humanśkiey</i>	92
<i>Mrowka</i>	94
<i>Trwoga człowieka bliźniego</i>	
<i>śmierci</i>	103
<i>Powietrze i wojna</i>	104
<i>Przeciwko Deistom</i>	107
<i>Na piorun</i>	112
<i>Tęskność do kraiu</i>	113
<i>Czas</i>	116
<i>Lament gołębicy</i>	126
<i>Sady, i Fatym</i>	128
<i>Matka syna wyprawia do obozu</i>	130
<i>Na dzień urodzin</i>	133
<i>Na dzień imienin</i>	135
<i>Wezyr Giafar do Haruna</i>	137
<i>List wymawiający się</i>	146
<i>Na</i>	



<i>Na obraz tryumfu śmierci</i>	- - -	148
<i>Kato, o nieśmiertelności duszy</i>	-	150
<i>Opisanie smutku</i>	- - - - -	152
<i>Nieśląteczność Fausty</i>	- - - - -	155
<i>Przykład religii</i>	- - - - -	159
<i>Do J.W. Jmci X. Naruszewicza</i>		174
<i>Sumienie</i>	- - - - -	179
<i>O uspokoienu z cnoty</i>	- - - -	191

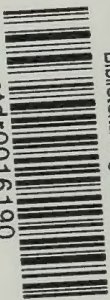








Biblioteka Jagiellońska



stdr0016190

